Dodatek do „Gazety Lwowskiej“.

PRZEWODNIK

NAUKOWY I LITERACKI

Rok XXXVI.

Tom XXXVI. — Zeszyt I. Styczeń — 1908.

Odpowiedzialny redaktor: Adam Krechowiecki.

WE LWOWIE.
Nakładem wydawnictwa „Gazety Lwowskiej“.
Z drukarni Wł. Łozińskiego.
(Zarządca J. Niedopad).
1908.

Treść zeszytu.

Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie.

WSTĘP.

Treść: 1. Stan badań dziejów oświaty szkolnej w Polsce porozbiorowej. — 2. Podział tychże dziejów.

1. Józef Łukaszewicz, zasłużony autor „Historyi szkół w Koronie i w Wielkiem Księstwie Litewskiem“, wydanej w Poznaniu w latach od 1849 do 1851, zamknął pracę swą rokiem 1794. Dziejów oświaty szkolnej w Polsce porozbiorowej nikt dotąd nie opracował i nie ujął w jeden jednolity obraz. Wydano co prawda sporo monografij, a obok dość dużo materyału źródłowego, ale to wszystko w stosunku do rozległości dziedziny jest za mało. Głównie skupiono uwagę tylko na pewne ważniejsze momenty tych dziejów, a pozostawiono odłogiem resztę pola. Na ogół biorąc, dziejów oświaty szkolnej w Polsce porozbiorowej nie znamy. Nawet pedagogowie z zawodu i ludzie, przykładający bardzo czynną rękę do bieżących reform szkolnych, nie mają o wartości pedagogicznej tych dziejów należytego pojęcia, owszem wygłaszają o nich czasem wręcz fałszywe zdania.

Pan Kazimierz Lutosławski, jeden z najruchliwszych i najświatlejszych reformatorów szkolnych doby obecnej, poucza nas

błędnie, że, chcąc budować nowy system wychowania na polskich tradycyach pedagogicznych, trzeba usunąć „olbrzymie rumowisko XIX. wieku, w którym nic twórczego w Polsce na tem polu nie powstało“.[1]) To się nie zgadza z prawdą. Kto reformuje wychowanie doby obecnej, od tego mamy wszelkie prawo żądać, aby pierwej pogłębił działania i dzieła pedagogiczne bodaj takich mężów jak Czartoryski, Czacki, Wielopolski i tylu innych, których szereg jest długi.

Właśnie porozbiorowa część dziejów edukacyjnych polskich może dla reform pedagogicznych bieżącej chwili dostarczyć niejednej praktycznej wskazówki, z niej właśnie możemy zaczerpnąć niejeden „najnowszy“ ideał i środek pedagogiczny, który dziś bierzemy z zagranicy, każąc sobie samym i obcym wierzyć, że byliśmy i jesteśmy na niwie pedagogicznej narodem nieproduktywnym a zdolnym tylko do naśladowania.

U nas niwa historyczno-pedagogiczna leży niestety nieomal całkiem odłogiem, bo to, co się na niej robi, jest w stosunku do ogromu przedmiotu prawie niczem. Pracuje na niej zaledwie kilku badaczy a między nimi znaczna część tylko dorywczo. Za granicą uprawiają tę dziedzinę dziejową nietylko długie szeregi fachowo wyszkolonych jednostek, lecz także liczne towarzystwa naukowe.

W Niemczech n. p. dla zbadania dziejów oświaty szkolnej niemieckiej, założono w Berlinie w r. 1890 osobne towarzystwo p. n. „Gesellschaft für deutsche Erziehungs- und Schulgeschichte“, które dotąd rozrosło się do olbrzymich rozmiarów i rozwinęło bardzo owocną działalność. Towarzystwo liczy obecnie około 2.000 członków, płacących rocznie po 5 M. Towarzystwo dzieli się na grupy, obejmujące wszystkie kraje, „wo die deutsche Zunge klingt“. Niemiecki Reichstag uchwalił dla tego towarzystwa w r. 1899 stałą roczną subwencyę w kwocie 30.000 M. Poszczególne grupy pobierają subwencye od miejscowych rządów. Grupa austryacka ma od swego rządu ośmset koron stałej rocznej zapomogi.

Mając do dyspozycyi tylu pracowników i rozporządzając tak bogatymi środkami materyalnymi, mogło Towarzystwo zdziałać bardzo wiele.

Dotąd staraniem Towarzystwa wyszły „Documenta Germaniae Paedagogica“ w 35 grubych tomach, wydano 17 roczników: „Mit-

---

[1]) Zob. Polskie Ognisko wychowawcze wiejskie, Lwów 1906, str. 3.

teilungen", przynoszących rozprawy drobniejsze, a 14 sporych „Beihefte zu den Mitteilungen", wydano i inne przygodne publikacye. Prócz tego grupa austryacka Towarzystwa ogłosiła własnym nakładem 8 sporych niekiedy tomowych zeszytów p. t. „Beiträge zur oesterreichischen Erziehungs- und Schulgeschichte.

W odezwie, wzywającej do przystąpienia do Towarzystwa i popierania jego celów, umieścili organizatorowie ustęp charakterystyczny, który pozwalam sobie powtórzyć w dosłownem brzmieniu: „Die würdige Aufgabe kann in wissenschaftlich genügender Weise nur durch das Zusammenwirken vieler Kräfte gelöst werden. Es gilt den vereinzelten Bemühungen auf diesem Gebiete einen Mittelpunkt zu schaffen, durch geeignete Veröffentlichungen den Weg der deutschen Bildung die Jahrhunderte hindurch aufzuhellen und *hierdurch die Bestrebungen der Gegenwart zu fördern*". Kiedy my przyjdziemy do tego rozpoznania, że zadań pedagogicznych bieżącej chwili nie można należycie rozwiązać bez gruntownej znajomości historyi oświaty narodowej?! Za tem rozpoznaniem pójdzie dopiero organizacya pracy historyczno-pedagogicznej, a zatem nareszcie kroczenie w przyszłość po drodze nieomylnej. Z tego też powodu badanie dziejów edukacyjnych polskich a zwłaszcza porozbiorowych uważam za pilne zadanie historyografii narodowej.

Aby zaś studya historyczno-pedagogiczne mogły się stać niezawodnym regulatorem naszych dzisiejszych działań i dzieł reformatorskich na polu wychowania, aby jednocześnie mogły nas uwolnić od błędnego przekonania, że na niwie pedagogicznej jesteśmy tylko naśladowcami, trzeba koniecznie rozszerzyć ich zakres, trzeba objąć niemi nie tylko właściwą historyę szkół, lecz zarazem i historyę pedagogiki polskiej, owszem na historyczną ewolucyę pojęć pedagogicznych w Polsce, a zwłaszcza w Polsce porozbiorowej trzeba położyć silny nacisk.

2. W ten sposób trzeba traktować każdą część dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej. Dzieje edukacyjne polskie dotąd jednolite, zaczęły się bowiem z chwilą pierwszego rozbioru rozbijać na kilka równoległych ale niejednolitych prądów. Dzieje te trzeba przedstawić w tylu osobnych obrazach, ile było odrębnych dzielnic.

W jednym obrazie trzeba odtworzyć dzieje porozbiorowe wychowania Polaków na obczyźnie: 1. Polaków na emigracyi politycznej; 2. Polaków na emigracyi ekonomicznej;

3. Dzieje peregrynacyi młodzieży polskiej dla nauki i 4. Dzieje literatury pedagogicznej polskiej na obczyźnie.

Drugi obraz powinien objąć dzieje wychowania i nauczania w ziemiach zaboru pruskiego.

W toku dziejów wychowania i szkół dzielnicy pruskiej uwydatniły się wyraźnie *trzy okresy*. W ziemiach polskich, zabranych w r. 1772, rząd pruski rozpoczął od razu bezwzględną germanizacyę szkół i przeprowadzał ją z wielkim pospiechem i niesłychaną energią i bezwzględnością. To *okres pierwszy*.

W ziemiach polskich drugiego i trzeciego zaboru pruskiego a następnie w dzielnicy, wytworzonej przez kongres wiedeński w r. 1815, zdążał rząd pruski stale do zgermanizowania szkół, ale działał ostrożnie, aby z powodu nieustalonych jeszcze stosunków politycznych nie drażnić umysłów polskich. Zakładając szkoły niemieckie, utrzymywał obok nich polskie z organizacyą pruską. Ta wytrwała ale oględna polityka szkolna pruska w ziemiach polskich skończyła się z chwilą, gdy Prusy dzięki wielkim powodzeniom oręża swego wybiły się na stanowisko pierwszorzędnej potęgi europejskiej. Pogrom Austryi a zwłaszcza upokorzenie Francyi to kres okresu drugiego dziejów edukacyjnych polskich w zaborze pruskim. Z r. 1873, z nastaniem ministeryum Falka, rozpoczął się *okres trzeci*, okres bezwzględnej germanizacyi wychowania i szkół, który się dotąd nie skończył. W dzielnicy pruskiej niema dziś ani jednej szkoły polskiej, niema nauki języka polskiego, niema dla żadnego przedmiotu języka wykładowego polskiego. Nad szkołami dzielnicy pruskiej powiewa sztandar z złowrogim średniowiecznym krzyżackim napisem „exterminare idioma polonicum“, wytępić wszystko, co polskie.

Wręcz odwrotny obraz przedstawiają dzieje edukacyi publicznej w dzielnicy austryackiej. Zaraz po roku 1773 zaczął rząd Habsburgów przeprowadzać radykalną germanizacyę szkół, która dokonywała niemałego spustoszenia, padając na grunt, nietknięty dobroczynnym wpływem reform Komisyi edukacyi narodowej. Szkoły polskie poznoszono, a w ich miejsce pozakładano austryackie z językiem wykładowym niemieckim. Ucisk szkolny i germanizacya wychowania i nauczania słabły w dzielnicy austryackiej w miarę kurczenia się i wątlenia siły i znaczenia monarchii austryackiej. Porażka z r. 1866 położyła kres zapędom germanizacyjnym. Rok 1867, w którym Galicya otrzymała naczelną Radę szkolną krajową i w którym rozpoczęło się unarodowianie nauczania i wychowania, zamknął okres pierwszy

dziejów edukacyi w dzielnicy austryackiej a rozpoczął drugi, który się dotąd nie skończył.

Zanim się przejdzie do dzielnicy rosyjskiej, trzeba zatrzymać się przy szkolnictwie organizmów politycznych, wytworzonych z cząstek dawnej Polski z rządem autonomicznym polskim.

W osobnym obrazie wystąpią dzieje wychowania i szkół Księstwa warszawskiego, utworzonego w r. 1807 z ziem polskich, odebranych Prusom, a powiększonego w r. 1809 terytoryami, odebranemi Austryi. Władze szkolne Księstwa warszawskiego poszły torem, wytkniętym przez Komisyę edukacyi narodowej, a z drugiej strony korzystały z pozostałych urządzeń szkolnych pruskich, zwłaszcza przy organizowaniu szkół ludowych.

Kongres wiedeński z r. 1815 utworzył wolne miasto Kraków z okręgiem i Królestwo polskie.

Dzieje wychowania i szkół wolnego m. Krakowa i okręgu czyli Rzeczypospolitej krakowskiej (1815 do 1846) złożą się na mały, miniaturowy obrazek edukacyjny. Rzeczpospolita krakowska była organizmem niewielkim a przytem słabym a w dodatku ubogim i jako taki nie mogła w dziedzinie wychowania zdziałać nic wybitniejszego i większego. W dziejach edukacyjnych Reczypospolitej krakowskiej rysują się dwa okresiki, przedzielone r. 1833. W pierwszym oparło się szkolnictwo na wzorach edukacyjnych Księstwa warszawskiego a zatem pośrednio na dorobku Komisyi edukacyi narodowej. W r. 1833 zaczyna się dokonywać pod naciskiem rezydentów trzech państw rozbiorowych reorganizacya szkół na modłę austryacką. W roku 1846 zabrała Kraków Austrya.

Osobny wielki obraz wypełnią dzieje edukacyjne Królestwa polskiego, utworzonego w r. 1815 razem z Rzecząpospolitą krakowską. W dziejach tych rozróżniamy kilka odrębnych faz czyli okresów rozwoju. Mając konstytucyjnie zagwarantowany samorząd szkolny, rozwijało Królestwo skrzętną działalność na polu edukacyi. Przerwało pracę tę i zamknęło okres pierwszy powstanie listopadowe.

Po upadku powstania rozpoczął się okres drugi, okres tłumienia szkół polskich.

Poprawiły się stosunki po wstąpieniu na tron Aleksandra II. w r. 1855. Zaczął się okres trzeci. W r. 1861 objął w Królestwie polskiem dyrekturę wyznań i oświaty Aleksander Wielopolski. W r. 1862 przywrócono Uniwersytet warszawski pod nazwą „Szkoły głównej“. Wydana niebawem ustawa szkolna jest

trwałym pomnikiem rozumu tych, którzy ją utworzyli: samego Wielopolskiego i licznych jego doradców i pomocników. Kres temu krótkiemu ale pięknemu rozkwitowi szkoły polskiej w Królestwie polskiem położyły skutki powstania z r. 1863. Rok 1869 zniweczył jednym zamachem wszystkie szkoły polskie w ziemiach Królestwa polskiego i zainaugurował okres czwarty, okres srogiego ucisku szkolnego, który doprowadził do niesłychanego w dziejach oświaty zjawiska, do strajku szkolnego. Oby chwila obecna była początkiem nowego okresu, pomyślnego dla oświaty narodowej.

W osobnym i ostatnim obrazie wypadałoby odmalować dzieje edukacyi w t. z. Krajach zabranych t. j. na Litwie, Wołyniu, Ukrainie i Podolu. Trzeba je podzielić na trzy okresy. Pierwszy okres kończy się z chwilą wystąpienia księcia Adama Czartoryskiego i Tadeusza Czackiego, drugi z chwilą zamknięcia Uniwersytetu wileńskiego (1832) i Liceum krzemienieckiego (1833), trzeci jest zupełnem pognębieniem całego szkolnictwa polskiego w tych zabranych krajach.

W obrębie okresu pierwszego trzeba będzie odrębnie traktować zabór, dokonany w r. 1772, a osobno zabory z r. 1793 i 1795. Statut szkolny litewski, wydany przez cara Pawła w r. 1797 uwzględnił do pewnego stopnia dawne ustawy Komisyi edukacyi narodowej.

Okres drugi dziejów edukacyjnych w krajach zabranych jest wprawdzie jednolity, jako oparty na duchu i dorobku Komisyi edukacyi narodowej, musi być jednak rozdzielony na dwa osobne obrazy. Na jednym będzie głównym działaczem ks. Adam Czartoryski, a punktem centralnym działania Wilno, na drugim wysunie się naprzód silna indywidualność Tadeusza Czackiego a jako główne ognisko oświaty Krzemieniec.

Nie chcąc poprzestać na kreśleniu pięknych programów pracy, o co u nas tak łatwo, oddaję niniejszem na własność publiczną „Zarys dziejów edukacyjnych Polski porozbiorowej na obczyźnie“.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Na emigracyi politycznej.

I.

Pierwsze ogniska oświatowe polskie na emigracyi politycznej.

Treść: 1. Szkoła kadetów w Luneville. — 2. Szkoła oryentalna w Stambule. — 3. Emigracya po r. 1831. — Ulgi rządu francuskiego dla uczącej się młodzieży. — Odezwa Henryka Nakwaskiego. — Towarzystwo naukowej pomocy w Paryżu. — Jego cele, skład, źródła dochodu i prace: Stypendya i zapomogi dla uczącej się młodzieży; wspiera kursa czyli szkoły wojskowe polskie; zakłada pierwszą Bibliotekę polską; organizuje szkoły polskie w Nancy i Orleanie. — Upadek Towarzystwa. — Podobne towarzystwa w Chateauroux i Besançon. — 4. Towarzystwo Dam polskich w Paryżu. — Jego udział w pracach wychowawczych. — 5. Towarzystwo politechniczne polskie. — 6. Towarzystwo Pań w Edynburgu. — 7. Towarzystwo literackie przyjaciół Polski w Londynie. — Ubocznie zajmuje się działwą szkolną polską. — 8. Towarzystwo naukowej pomocy dla dzieci emigrantów polskich w Anglii. — Jego działalność. — 9. Polacy w Portugalii.

1. Jeszcze Rzeczpospolita polska istniała, a już rozpoczęło się przesuwanie ognisk oświatowych polskich do ziem obcych. Była to mała przygrywka do tego, co niebawem miało przybrać wielkie rozmiary. O tych pierwszych instytucyach naukowych polskich na obczyźnie, zorganizowanych jeszcze za bytu Polski, wspomnę pokrótce.

Pierwszy polski wychodźca polityczny, król Stanisław Leszczyński, założył pierwszą szkołę polską na ziemi obcej. Była nią *Szkoła kadetów w Luneville w Francyi* a raczej konwikt dla dwunastu młodzieńców polskich. Instytucya ta utrzymała się stosunkowo długo, od r. 1738 do 1766, i wychowała szereg młodych Polaków, którzy, wróciwszy do ojczyzny, wywarli zbawienny wpływ na zmianę pojęć i tok spraw politycznych w Polsce.

Literatura i źródła. Benoit A.: L'école des cadets-gentelhommes du roi de Pologne à Luneville 1738—1766, Luneville 1867.

2. Kiedy się kończył byt szkoły lunewilskiej organizował się na wschodnich kresach Europy innego rodzaju zakład polski na obczyźnie.

Rzeczpospolita polska miała z Turcyą ciągłe stosunki zarówno w sprawach wielkiej polityki jak drobnych zatargów sąsiedzkich i interesów handlowych. Z tego powodu potrzebna była w Polsce znajomość języka tureckiego. Posługiwano się w razie potrzeby tłómaczami, opłacanymi drogo.

Król Stanisław August powziął zamiar założenia *Szkoły oryentalnej w Stambule,* w którejby się młodzież polska uczyła języków wschodnich. Wykonawcą myśli królewskiej był Karol de Boscamp.

Projekt zrealizował się w r. 1766. Sejm uchwalił potrzebne na szkołę wydatki: zakład otwarto na przedmieściu stambulskiem Pera. Kierownictwo nad szkołą objął tłómacz Rzeczypospolitej Antoni Łukasz Crutta rodem z Albanii. Na początek umieszczono w szkole czterech uczniów.

Pierwszymi uczniami byli: Lwowian Jan Nikorowicz, Michał Dederkało, dalej syn byłego tłómacza Rzeczypospolitej Piotr Giuliani i Stanisław de Pichelstein. Oprócz nauki języków wschodnich mieli pobierać lekcye języka francuskiego i polskiego. Obowiązani byli ćwiczyć się przedewszystkiem w stylu urzędowym, aby się wykierować na tłómaczów i urzędników poselstwa polskiego w Stambule. Utrzymanie szkoły kosztowało z początku 2460 piastrów czyli około 615 dukatów czyli 12300 złotych polskich XVIII. wieku. Sejm z r. 1768 wyznaczał na nią 40000 złotych. Fundusz ten szedł na utrzymanie i kształcenie wspomnianych czterech uczniów i ich dozorcy. W dobie konfederacyi barskiej głucho o tej szkole.

W r. 1772 ułożono dla szkoły nową instrukcyę a liczbę uczniów zredukowano do trzech. Instrukcyę opracował sekretarz wielki koronny Jacek Ogrodzki.

Uczniowie otrzymywali mieszkanie, stół, światło i pranie; prócz tego każdy pobierał po 200 piastrów rocznie na ubranie i drobne wydatki, 120 piastrów wyznaczono dla dwu służących, Ormian lub Greków, mówiących po turecku i przynajmniej nieco

po włosku. Do języków arabskiego, perskiego i tureckiego mieli być osobni metrowie, płatni po 4 piastry na miesiąc od ucznia, z zapewnieniem osobnej małej gratyfikacyi za sumienne i pilne pełnienie obowiązków.

Uczniowie mieli poznać celniejsze dzieła literatury wschodniej, przedewszystkiem jednak zgłębić tajemnice firmanów i przyswoić sobie język dyplomatyczny i stylistyczny ministeryum spraw zagranicznych państwa ottomańskiego. Obowiązani też byli uczyć się języków europejskich: francuskiego i włoskiego; na metrów tych języków wyznaczyła instrukcya 100 piastrów rocznie.

Przełożonemu szkoły Zygmuntowi Ewerhardowi, agentowi Rzeczypospolitej w Konstantynopolu, dodał sekretarz Ogrodzki do pomocy dragomana agentury Zygmunta Pohla Pangaliego.

Po zredukowaniu liczby uczniów i wydaniu nowej instrukcyi Rzeczpospolita płaciła na szkołę 30.000 złr. czyli 1500 dukatów.

Stanisław August nie zapominał o szkole. W r. 1782 posłał do Konstantynopola Józefa Mikoszę, powierzając mu nietylko dozór szkoły lecz zarazem obowiązek ćwiczenia uczniów w języku polskim i obznajamiania ich z instytucyami Rzeczypospolitej.

Mimoto szkoła rozwijała się opornie. Pobierało z funduszu Rzeczypospolitej dwóch czasem jeden młodzieniec po 700 piastrów rocznie na doskonalenie się w językach wschodnich, lecz szkoła w właściwem tego słowa znaczeniu przestała istnieć.

W r. 1790 przybył do Konstantynopola jako rezydent Rzeczypospolitej Piotr Franciszek Potocki celem zawarcia z Turcyą traktatu handlowego. Przy tej sposobności zajął się szkołą oryentalną. Opracował projekt uregulowania tej szkoły i posłał go do Warszawy Deputacyi interesów cudzoziemskich.

Projektował, aby połowa uczniów była narodowości polskiej a druga połowa innych narodowości, ile można Francuzów. Razem mieli się wszyscy uczyć języków: tureckiego, perskiego, arabskiego, a prócz tego uczniowie polscy francuskiego i włoskiego, jako powszechnie w Stambule używanych, zaś uczniowie cudzoziemcy języka polskiego. Wszyscy też mieli się uczyć historyi, geografii handlowej, ustaw oraz zwyczajów obu państw: polskiego i tureckiego. Uzdolnieni i chętni mogli pracować przytem w kancelaryi ministra rezydenta Rzeczypospolitej i zaprawiać się w ten sposób praktycznie do spraw politycznych i handlowych. Dozór nad szkołą miał mieć kanclerz misyi polskiej w Stambule.

Potocki oświadczył się za pensyonatem i podał projekt wydatków na utrzymanie szkoły z pensyonatem, obliczając go na 33.290 złp.

Nie czekając na decyzyę Deputacyi, urządził Potocki szkołę oryentalną według swego uznania. Wybrał czterech uczniów, ubrał ich w kostiumy oryentalne, i łożył z własnych funduszów na ich utrzymanie i nauki.

Deputacya zgodziła się na projekt Potockiego, zredukowawszy wydatki do 30.000 złp.

W zorganizowanej na nowo szkole kształcił się jeden Polak, jeden Francuz, jeden Ormianin i jeden Włoch. Kierownictwo szkoły objął tymczasowo kanonik smoleński ks. Janowski.

Wydatki skarbu publicznego na szkołę dzięki prywatnej hojności Potockiego były niewielkie.

Potocki, niezadowolony z fundowanej przez siebie instytucyi, wystąpił po pewnym czasie z nowym projektem, doradzając przeniesienie szkoły z Stambułu do Warszawy. Projekt ten upadł, utrzymała się pierwotna organizacya.

Szkoła istniała do końca Rzeczypospolitej, ale nie przyniosła jej oczekiwanych korzyści. Jeden tylko jej uczeń Ormianin Kirkor służył gorliwie upadającej Ojczyźnie,

Literatura i źródła. Smoleński W.: Szkoła oryentalna w Stambule na koszcie Rzeczypospolitej w Kwartalniku hist., I. str. 584.

3. Już przed trzecim rozbiorem Polski wyruszyły liczne zastępy patryotów i żołnierzy polskich za granicę do państw, które z mocarstwami rozbiorowemi żyły w nieprzyjaźni: do Turcyi, Wołoszczyzny a najwięcej do Francyi. Ale wtedy myślano tylko o prędkiem odzyskaniu utraconej wolności politycznej. W okresie legionów, spodziewając się bliskiego powrotu, wychodźcy polscy nie organizowali na obczyźnie szkół własnych.

Uczyniła to dopiero emigracya polityczna po roku 1831, która przybrała ogromne rozmiary i przeciągnęła się na dłuższy czas.

Powiedziano słusznie, że wychodźctwo polskie z r. 1831 przedstawiało cały organizm narodowy w skróceniu.

Wchodzili w skład jego członkowie rządu i naczelnicy wojsk a obok biedni wyrobnicy i prości żołnierze, najwyżsi geniusze poezyi i nauki a obok maluczcy w duchu, książęta a obok prostaczkowie z gminu, młodzież wieśniacza, owa chluba walki o niepodległość w r. 1831.

W dziejach narodów nieraz zdarzały się wychodźctwa, ale zwykle po niedługim czasie wychodźcy wracali do swoich ognisk albo też rozpraszali się i wsiąkali w społeczeństwa, wśród których znaleźli schronienie. Inaczej emigracya polska: trwała ona przez lat dziesiątki, nie wsiąkła w żaden obcy żywioł i do końca pozostała sama sobą.

Główna fala wychodźców polskich po r. 1831 popłynęła do Francyi. Znalazło ich się tam około dziesięciu tysięcy.[1]) Reszta rozproszyła się po rozmaitych krajach i częściach świata, znajdując przytułek w Belgii, Anglii, Hiszpanii, Szwajcaryi, Algierze, w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki i gdzieindziej.

Przed przybyciem emigracyi naszej do Francyi Izby tego kraju dla wychodźców hiszpańskich, włoskich i portugalskich zawotowały były w budżecie 1832 roku 600.000 fr. Po przybyciu emigrantów polskich rząd musiał zażądać powiększenia kredytów. Przedtem jednak przeprowadził prawo o cudzoziemcach, prawo ograniczające ich swobodę osobistą i wyjmujące ich w pewnym względzie z pod prawa ogólnego. Prawo to dawało rządowi t. j. ministrowi spraw wewnętrznych moc gromadzenia wychodźców w jednem lub kilku miejscach, na to specyalnie wyznaczonych, i przymuszania ich do stałego pobytu w tychże. W razie nieposłuszeństwa lub w razie, jeśliby zachowanie się wychodźców zagrażało zakłóceniem porządku i spokoju publicznego, upoważniało władzę do wydalania ich z granic Francyi drogą administracyjną t. j. bez wszelkiego wyroku sądowego. Tym sposobem nowe prawo oddawało poniekąd wychodźców a w pierwszym rzędzie Polaków na łaskę i niełaskę organów władzy wykonawczej t. j. policyi. Na uchwalenie tego prawa wpływała dyplomacya rossyjska. Dnia 19. kwietnia 1832 roku przeszło to prawo i w Izbie panów francuskich.

Rząd, otrzymawszy tę uchwałę, którą emigracya polska przyjęła z niesłychanem rozgoryczeniem, przeprowadził niebawem ustawę o utrzymaniu Polaków. Zawotowano 3 miliony fr. Te trzy miliony to był chleb codzienny naszych tułaczy, to była spłata

---

[1]) Demokrata polski, tom II. 1839, str. 231 i 232 oblicza ogół wychodźców polskich w Francyi na 9.472, z tego uczniów, rozrzuconych po rozmaitych szkołach było 449: a w szczególności uczących się medycyny 202, prawa 61, aptekarstwa 22, górnictwa 31, języka francuskiego 31, matematyki 20, rolnictwa 48, weterynaryi 16. sztuk pięknych 12 itd.

Według tegoż „Demokraty“ (Rok IV. 1842, str. 272) było na początku roku 1842 we Francyi emigrantów Polaków 4.471.

długu, który Francya winna była Polsce za utrzymanie armii francuskiej.

Obie ustawy, uchwalone na rok jeden, przedłużono i na następny. Ale rok 1833 przyniósł dotkliwe rozporządzenie rządowe, oddające wychodźctwo polskie, które dotąd podlegało ministerstwu wojny, pod zarząd władz cywilnych, ministerstwa spraw wewnętrznych. Nad emigrantami rozciągnięto bardzo ścisły dozór. Nareszcie i taryfa żołdu, jak nasi stale nazywali pobierane subsydya rządowe, która już nieraz była zmieniana, teraz znacznemu uległa zniżeniu. Według niej przeznaczono odtąd miesięcznie: generałom dywizyi 150 fr., generałom brygady 100 fr., pułkownikom, podpułkownikom i majorom 60 fr., kapitanom, porucznikom i podporucznikom 45 fr., podoficerom i żołnierzom po 75 centimów dziennie i racyę chleba. Emigrantom cywilnym: profesorom, urzędnikom, lekarzom, akademikom i t. p. przeznaczono od 45 do 70 fr. miesięcznie.

Z początkiem r. 1833 zaczęto też zwijać wielkie zbiorowiska emigrantów, zwane w języku urzędowym francuskim „depôts" a po polsku powszechnie „zakładami", i rozdzielać je i rozdrabniać po różnych miejscach, tak, że nigdy w liczbie znaczniejszej się nie znajdowali.

W ten sposób przez lato r. 1833 wychodźctwo polskie zostało rozsypane na sto kilkadziesiąt, potem na więcej jeszcze zakładów.

Rozdzieliwszy Polaków po miastach na tak zwane „depôts" czyli „zakłady", rząd francuski pilnował, aby się nie przenosili z miejsca na miejsce. Dopiero po długich staraniach zezwolił, by młodzież, pragnąca się oddać nauce, mogła z „zakładów" przenosić się do większych miast na studya. W praktyce rząd stawiał jednak sporo trudności. Dopiero Thiers, objąwszy w r. 1835 ministeryum spraw wewnętrznych, poczynił rozmaite ulgi. Uzyskali je Polacy głównie dzięki zabiegom ks. Adama Czartoryskiego i jenerała Kniaziewicza.

Zabiegając o te ulgi u rządu, wpływano jednocześnie na młodzież, aby, nie tracąc czasu, imała się pracy i nauki. W r. 1833 ukazała się w Paryżu broszura p. t. „O najkorzystniejszem użyciu czasu w emigracyi", skierowana głównie do młodzieży. Nie wymieniony na niej autor, poseł Henryk Nakwaski, wołał, aby emigracya zwróciła wszystkie swe siły, wszystkie swe widoki ku dobru Ojczyzny, a to nietylko pracując nad jej odzyskaniem, lecz nadto kształcąc i sposobiąc się, aby jej być prawdziwie użyte-

czną. Trzeba się uczyć na emigracyi. Kto wróci nieukiem, ten Ojczyźnie służyć nie potrafi.

Młodzież emigracyjna ma dobrą sposobność nauczenia się wiele. Młodzieńcy, wysyłani dawniej za granicę przez różne magistratury, uniwersytety i towarzystwa, mało co większe pobierali zasiłki nad te, jakie dziś pobierają oficerowie polscy od rządu francuskiego, a dawniej nie było takiej jak dziś łatwości nabywania nauki. Francya, powiada autor, we wszystkich prawie gałeziach nauk przedstawia sposobność dobrego kształcenia się. Każdy młodzieniec miał sobie obrać jakiś kierunek naukowy, jakiś zawód, i poświęcić mu pogłębioną i skupioną uwagę i wytrwałą pracę. aby go mógł opanować i dojść w nim do możliwej doskonałości.

Rozwijając dokładniej myśli swoje, zastanawiał się autor szczegółowo nad poszczególnemi gałęziami zatrudnień, jakim Polak z pożytkiem dla swej Ojczyzny może się oddawać na wychodźctwie. Dzieli je na rolnictwo, przemysł, handel, na nauki wojskowe, rządowe czyli polityczne, filozoficzno-matematyczne, nakoniec na nauki i sztuki piękne. Przy każdej poucza młodzież, w jaki sposób najkorzystniej może się w niej kształcić tak teoretycznie jak praktycznie. Przy tej sposobości wymienia Polaków, którzy już się wzięli do uczenia się i do pracy, i wskazuje na nich jako na przykład dobry. Wymienia też zakłady francuskie, angielskie, niemieckie, gdzie młodzież może się nauczyć czegoś dobrego.

Odezwa podziałała na młodzież dobroczynnie. Przestawszy marzyć o zbrojnym powrocie do kraju, zaczęła się garnąć do nauki i do pracy praktycznej.

Ponieważ zastępy młodzieży polskiej emigracyjnej, garnącej się do nauki a nie mającej środków do jej zdobycia, były bardzo znaczne, przeto grono patryotów zawiązało dn. 29. grudnia 1832 r. Towarzystwo naukowej pomocy w Paryżu, które w odezwie, wydanej w styczniu roku 1832, określiło dokładnie swe cele.

Rząd rosyjski po upadku powstania listopadowego używał wszelkich środków, aby zniweczyć narodowość polską. Zakłady nauczania publicznego były jednym z głównych przedmiotów jego nienawiści i srogiego ucisku. Pozamykał szkoły polskie, zniweczył uniwersytety, przywłaszczył sobie dla celów rusyfikacyjnych fundusze, przeznaczone na edukacyę młodzieży polskiej, i uwiózł z Polski do Rosyi biblioteki i zbiory sztuk pięknych.

Młodzież polska, zmuszona do tułaczki na obczyźnie, nie miała środków egzystencyi i mimo zapału do nauki musiała w bezczynności oczekiwać losu, który jej przyszłość gotowała, lub

najmować się do służby u obcych lub szukać przytułku w zakładach naukowych francuskich, w których, pozostawiona bez opieki, wyzuwszy się z uczuć narodowych i zapomniawszy mowy macierzystej, byłaby prędzej czy później przepadła dla ojczyzny.

Ten właśnie stan rzeczy był powodem założenia Towarzystwa pomocy naukowej. Założyli je: Książę Adam Czartoryski, generałowie Karol Kniaziewicz i Pac, były prezydent rządu narodowego B. Niemojowski i kasztelan Ludwik Plater razem z byłymi deputowanemi Cezarem Platerem i Aleksandrem Jełowickim oraz Adamem Mickiewiczem i dr. Karolem Marcinkowskim.

Celem zawiązanego towarzystwa było ułatwianie studyów młodzieży polskiej wszelkimi możliwymi środkami: materyalnie, niosąc pomoc pieniężną jednym uczniom, którzyby pragnęli poświęcić się studyom specyalnym i uczęszczać z tym zamiarem na kursa publiczne; moralnie, umieszczając innych w zakładach publicznych lub prywatnych jakichbądź w Francyi, Anglii i Niemczech; dalej zamierzano działać przez organizowanie kursów specyalnych w języku wykładowym polskim dla umiejętności najniezbędniejszych, oraz nareszcie przez założenie osobnego instytutu, w którymby młodzież polska znajdowała prócz pomieszczenia także wychowanie i nauczanie prowadzone w duchu narodowym.

Towarzystwo naukowej pomocy w Paryżu, założone w r. 1832. składało się z Rady kierującej, liczącej pierwotnie 10 członków, i z stowarzyszonych w liczbie 18. Przewodnictwo w Radzie objął książę Adam Czartoryski, a sekretaryat Jełowicki a po nim Feliks Wrotnowski. W latach następnych liczba członków powiększyła się. Weszli do Rady prócz wyżej wymienionych lub w ich miejsce między innymi Julian Niemcewicz, Ignacy Domejko, generał Dembiński.

Rada podzieliła się na dwa komitety: finansowy i edukacyjny.

Działalność rozpoczęło Towarzystwo od zbierania składek pomiędzy członkami a jednocześnie zwróciło się z odezwą publiczną o poparcie.

Ofiary na cele towarzystwa płynęły z początku obficie i od rodaków z emigracyi i kraju oraz od przyjaciół Polski: Francuzów, Amerykanów a przedewszystkiem od Anglików. Towarzystwo pomocy naukowej nawiązało stosunki z Towarzystwem literackiem przyjaciół Polski w Londynie oraz z Towarzystwem Dam angielskich w Edynburgu. W ciągu lat dwunastu sama Anglia złożyła na rzecz Towarzystwa 21.431 fr. Skutecznie także współdziałało Towarzystwo Dam polskich w Paryżu.

Pomiędzy ofiarodawcami i dobrodziejami towarzystwa spotykamy nazwiska hr. Montalemberta, lady Byron, miss Cruikshank i lady Gibson Graigh.

Najofiarniejszymi członkami Towarzystwa byli generał Kniaziewicz i Jełowicki. Niezmordowani w gromadzeniu funduszów Czartoryski, Niemcewicz, Kniaziewicz i inni. Znaczne sumy płynęły z dzielnicy rosyjskiej, ale anonimowo z obawy przed rządem rosyjskim, który pilnie kontrolował każdy krok emigracyi.

Dzięki szerokiej ofiarności Towarzystwo naukowej pomocy w krótkim czasie od r. 1832 do 1844 oddało sprawie wychowania narodowego znaczne usługi.

Na same wsparcia dla uczącej się młodzieży wydało w ciągu tego czasu 80.287 fr. 36 centimów. Udzielało zasiłków ciągłych i jednorazowych. Pomoc ciągła, z razu hojniejsza, później musiała się ograniczać do 15 franków miesięcznie. Wsparcia jednorazowe wynosiły od 35 do 100 fr.

Realizując dalszy punkt programu, udzielało Towarzystwo pomocy naukowej moralnego i materyalnego poparcia Kursom wojskowym, organizowanym w samym początku emigracyi po „zakładach“,

Pierwotnie osiedlono Polaków tylko w sześciu „zakładach“: w Bourges, Besançon, Dijon, Avignon, Chateauroux i w Cahors.

W tych właśnie miastach urządzano kursa czyli szkoły wojskowe dla młodzieży polskiej w języku polskim. Oficerowie polscy lub osoby świeckie wykładały w nich nauki wojskowe a obok historyę, geografię, statystykę, literaturę polską i inne przedmioty.

Towarzystwo pomocy naukowej spieszyło według możności z pomocą tym szkołom, płacąc za najem sal wykładowych, kupując dla nich książki i sprzęty. Pod tym względem nastały gorsze dla działalności Towarzystwa warunki, gdy nieliczne dotąd wielkie zakłady rozdrobniono na mnogie małe. Wyłoniły się przytem i inne przeszkody.

Była szkoła wojskowa w Cahors. Towarzystwo pomocy naukowej udzieliło jej w 1833 roku 100 fr. zasiłku.

W Besançon organizowała się za pozwoleniem ministra wojny a staraniem generała Kniaziewicza Szkoła artyleryi. Kniaziewicz przysłał na jej użytek szkrzynię książek naukowych, kosztem jego nabytych lub otrzymanych od ministra wojny. Pani Komarowa ofiarowała dla tej szkoły 196 tomów dzieł i 20 atlasów. Nareszcie po dłuższych wahaniach rozpoczęto 25. września 1832 roku z zasiłkiem Towarzystwa pomocy naukowej wykłady. Pro-

gram ich obejmował kurs artyleryi, fortyfikacyi, strategii, matematyki, fechtunku oraz służby piechoty i jazdy.

Na Kursie wojskowym w Bourges, otwartym w lutym r. 1833, wykładano strategię, fortyfikacyę, historyę polską i język francuski. Historyę i statystykę wykładał poseł Ksawery Godebski.

W Dijon zebrała się nieliczna ale wykształceńsza garstka Polaków. Byli między nimi młodzi akademicy z Warszawy i Krakowa, żądni wiedzy. Miejscowy uniwersytet dawał im do jej nabycia dobrą sposobność.

Zebrało się w Dijon około 50 Polaków, przyjmowanych przez miejscową ludność bardzo życzliwie. Mer miasta udzielił na zebrania obszernej sali w ratuszu, a Klub miejscowy pozwolił im korzystać z Czytelni swej. Nadarzała się też w Dijon dobra sposobność do wykształcenia się w kierunku praktycznym; młodzież polska nie korzystała z niej jednak, omaniona nadzieją rychłej wojny europejskiej. Myślano o wykształceniu wojskowem. Już w r. 1832 Jakób Malinowski, były profesor szkoły marymonckiej, wykładał w Dijon geografię i statystykę. Zamierzano nadto zorganizować kurs taktyki wojskowej i kilku innych przedmiotów, ale szybki bieg wypadków zwrócił młodzież w inną stronę. W kwietniu r. 1833 wyruszyło kilkudziesięciu młodych na t. zw. wyprawę frankfurcką. Po ich wyjściu pozostało w Dijon tylko 15 Polaków.

Na Kursach wojskowych w Paryżu, które Towarzystwo popierało najwydatniej, wykładał generał Sznajde taktykę kawaleryi, pułkownik Paprocki taktykę piechoty, kapitan Pogonowski rysunki topograficzne, kapitan Hauke artyleryę, Rymgayłło architekturę a generał Chrzanowski, znany autor wielkiej mapy Polski, kurs piechoty i sztuki wojennej.

Kursa wojskowe trwały wszędzie krótko. Paryskie zamknięto po pięciu miesiącach.

Towarzystwo pomocy naukowej zebrało dostarczone tym kursom książki i otwarło w Paryżu w październiku r. 1834 Bibliotekę polską, pierwszą na wychodźctwie, powierzając dozór nad nią Feliksowi Wrotnowskiemu.

Innym środkiem działania Towarzystwa pomocy naukowej było zakładanie szkół dla dziatwej emigracyjnej, aby ją kształcić i wychowywać w duchu narodowym a przez to chronić przed wynarodowieniem. Towarzystwo zorganizowało dwie takie szkoły.

Szkoła polska w Nancy powstała dn. 29. listopada 1833 roku. Dzieci, pomieszczone w pensyonacie francuskim, pobierały

przepisane dla ich wieku i stopnia wykształcenia przedmioty w szkołach publicznych. Niezależnie od tego nauczyciele polscy uczyli je języka, historyi i geografii polskiej; i religię wykładano im w języku ojczystym a nadto powtarzano z nimi w języku polskim przedmioty, wykładane po francusku w pensyonacie, a względnie w szkołach publicznych.

Towarzystwo płaciło nauczycieli i lokal, dostarczało szkole potrzebnych jej książek i przyznało każdemu dziecku zapomogi miesięczne po 5 fr. Towarzystwo dokładało też wszelkich starań, aby wyjednać u rządu przeniesienie rodzin polskich, mających dzieci w wieku szkolnym, do Nancy, aby zgromadzić w szkole około 40 dzieci. To się nieudało

Dozorcą honorowym szkoły w Nancy był ks. kanonik Józef Niezabitowski, kapelan żmudzkiego powstania, a po jego śmierci (w roku 1837) Włodzimierz Gadon, prezes rządu powstańczego w powiecie telszewskim.

Szkoła miała z początku do nauki polskich przedmiotów trzech nauczycieli, pod koniec tylko jednego. Uczyli w niej Morawski, dr. Dziewoński i Rajewski.

Uczniów liczyła od 18 do 21. Korzystali z niej chłopcy i dziewczęta. Pobierali w niej nauki elemantarne jedni, a inni przechodzili kurs gimnazyalny.

Prócz Towarzystwa pomocy naukowej popierało szkołę tę i miasto Nancy. Pod koniec podtrzymywały jej byt przeważnie tylko panie angielskie. Szczególnie opiekowała się nią Miss Anna Cruickshank. Jej zgon napełnił Polaków w Nancy głębokim smutkiem. Zarządzono, aby dziatwa i nauczyciele szkoły oraz rodzice dzieci nosili przez pewien czas po zmarłej żałobę. Uczczono pamięć jej nabożeństwem żałobnem i osobną jeszcze uroczystością (19. stycznia 1837), w czasie której wygłoszono dwie mowy na cześć zmarłej opiekunki. Przemawiali Włodzimierz Gadon i Józef Rymkiewicz.

Szkołę zwinięto po dziesięciu latach istnienia, wydawszy na nią 18.434 fr.

Podobną S z k o ł ę p o l s k ą podtrzymywało Towarzystwo pomocy naukowej w O r l e a n i e. Ta powstała w r. 1834 a zaczęła upadać już w r. 1837 z powodu braku funduszów. Szkoła ta kosztowała Towarzystwo 11.750 fr.

Dozorcą honorowym szkoły orleańskiej był ks. Dąbrowski, późniejszy dyrektor szkoły polskiej batyniolskiej w Paryżu.

Dzięki staraniom Towarzystwa pomocy naukowej minister spraw wewnętrznych Thiers nie tylko zezwolił na przesiedlenie się rodziców, mających dzieci a przez towarzystwo wskazanych, do Orleanu lecz poniósł nawet część kosztów przesiedlania tychże. Wskutek tego szkoła zgromadziła liczniejszy zastęp dzieci. Liczyła ich od 11 do 22. W r. 1837 było w niej 17 uczniów w wieku od 5 do 23 lat.

I tu urządzono naukę jak w Nancy, i tu dla polskich przedmiotów opłacało Towarzystwo trzech profesorów. Prócz ks. Dąbrowskiego uczyli w szkole były profesor gimnazjalny wileński Gerard Gronostajski i Chrząszczewski.

Nie mogąc utrzymać osobnej szkoły w Orleanie. zamierzało Towarzystwo przenieść ją do Nancy. Szkoła orleańska utrzymała się czas jakiś jeszcze po utracie subsydyów Towarzystwa.

Towarzystwo pomocy naukowej zamierzał zorganizować podobne szkoły polskie i w innych miejscach n. p. w Besançon, Tours i t. d. Wykonaniu tej myśli stanął na przeszkodzie brak funduszów oraz niemożność zgromadzenia większej liczby dzieci na jednem miejscu.

Aby uchronić młodzież od utraty uczuć religijnych i narodowych, od zepsucia światowego i od umysłowego zwichnięcia dążyło Towarzystwo do utworzenia osobnej w Paryżu instytucyi naukowej. Dyrekcyę najwyższą miało zatrzymać Towarzystwo, a bezpośrednie kierownictwo miało przejść w ręce Rady nadzorczej. Instytucya miała być skromna i tajemna, aby nie obudzać uwagi nieprzyjaznych nam rządów, miała nosić nazwisko pensyi prywatnej, jak gdyby była własnością jej kierownika. Opłata roczna miała wynosić 3000 fr. a miała się zmniejszać w miarę wzrostu liczby pensyonarzy.

Młodzież miała chodzić na kursa poza dom a w domu miała pobierać korepetycye w języku polskim, a uczyć się języka i literatury polskiej, historyi i geografii polskiej, prawa polskiego oraz filozofii katolickiej.

Zamiar ten zrealizował się w innej nieco formie, ale już po rozwiązaniu się Towarzystwa.

W r. 1841 ogłosiło Towarzystwo naukowej pomocy konkurs na napisanie książki, obejmującej kanon wiedzy o rzeczach polskich p. t. Szkoła domowa. O książce tej a raczej o jej projekcie będzie mowa tam, gdzie przyjdzie do oceny literatura pedagogiczna polska na obczyźnie. Z tej akcyi powstał tylko Elementarz polski.

Na tak różnorodne i liczne potrzeby nie miało Towarzystwo stałych dochodów; fundusze wpływały tylko z dobrowolnych ofiar i składek, które z początku napływały dość hojnie a z biegiem czasu coraz słabiej. Z początku miało Towarzystwo przeszło 25.000 fr. rocznego dochodu, pod koniec zaledwie 2.000 fr. Przy roztropnem szafarstwie unikło deficytów z wyjątkiem r. 1836.

Towarzystwo naukowej pomocy dawało jeszcze r. 1847 słabe znaki życia i upadło ostatecznie nie tyle dla braku poparcia materyalnego, ile raczej wskutek nierozumnej opozycyi, z którą przeciw niemu wystąpiła pewna garstka wychodźców polskich, uprawiających pseudopolitykę emigracyi, wmawiających w młodzież, że ten rodzaj zajęcia t. j. oddawanie się nauce, jest przeszkodą dla „życia publicznego" na emigracyi. Oto, co mówi były pedagog wileński i były sekretarz Komitetu grudniowego Walery Pietkiewicz w liście do przyjaciela: „Nie uwierzysz, jak prędko nasi tu głupieją, szczególniej młodzi, co się uczą; prawnictwo, ekonomia zabija ich okropnie. Kilku porządnych przedtem chłopców rozumieć już nie mogę, tak derezonują, tak zdoktrynoszeli. To okropna! Wolałbym, żeby się nic nie uczyli: żeby próżnując w zakładach siedzieli: a będąc w kupie, polskiem żywili się czuciem".

Do tego domieszały się potępieńcze swary i nieznośna podejrzliwość. Towarzystwo padło ich ofiarą. Głoszono wśród emigracyi, że imię Towarzystwa służy tylko jego prezesowi za pozór do szafowania sumami, przysłanemi mu dla Emigracyi. Zarzucono mu nawet „zwolennictwo i przedajność", choć Towarzystwo ogłaszało dokładne raporty i sprawozdania, a jego księgi stały dla każdego otworem u kasyera, w mieszkaniu generała Paca. Tak n. p. ogłoszono w Tuluzie, że Czartoryski obudza zgrozę przez „oszustowskie trwonienie pieniędzy emigracyjnych, że przez pośrednictwo Towarzystwa naukowej pomocy rozsyła wsparcia swoim zwolennikom, po większej części próżniakom".

Głośny warchoł i potwarca emigracyjny, J. B. Ostrowski, zwany „Ibusiem", zapamiętale poduszczał, zaręczając, że Czartoryski ma 140.000 fr., nadesłanych mu dla Emigracyi. Książę, zapytany przez Dwernickiego, odpowiedział, że żadnych pieniędzy emigracyjnych nie posiada, a jeśli co ma, to dane mu są one do własnego rozporządzenia albo z celem wyraźnie oznaczonym.

Gdy Ostrowski wołać nie przestawał, gdy wskutek tego wołania niektóre Zakłady udawały się wprost z zapytaniem do księcia Adama, wtedy ten odpowiedział w liście z dn. 30. stycznia 1834 roku, że nie on sam funduszami rozrządza, lecz wspólnie

z wyznaczoną przez stowarzyszonych Radą, która ogłasza sprawozdania swoje drukiem i podlega tem samem kontroli publicznej. Fundusze te były zawsze szczupłe, a powieść o kilkunastu tysiącach dukatów jest czczem tylko wymyśleniem.

Na czele Towarzystwa pomocy naukowej stał Czartoryski, a więc Lelewelici i Demokraci głosili, że jest ono „zamachem na ogarnięcie tułactwa“, utworzone tylko, by „kupować stronników dla arystokracyi“

Towarzystwo jednak służyło najwięcej tym właśnie, którzy wcale „arystokratami“ nie byli, służyło przez spory szereg lat i posłużyło wielbionej pamięci Karolowi Marcinkowskiemu za wzór do założenia podobnego Towarzystwa do dziś dnia w Poznańskiem błogo działającego.

Dr. Marcinkowski rozpoczął szczytną działalność już w Paryżu znamiennym czynem. W konkursie, rozpisanym przez Akademię medyczną w Paryżu, zdobył medal złoty. Uzyskawszy zezwolenie instytucyi, zrzekł się medalu, a wartość jego, 1.000 fr., przekazał Towarzystwu pomocy naukowej na wsparcia dla uczniów polskich, uczących się medycyny.

I gdzieindziej na emigracyi powstały podobne Towarzystwa, ale te miały byt bardzo krótki.

W Chateauroux zawiązało się w lutym r. 1833 Towarzystwo wzajemnego oświecenia z celem „doskonalenia się wzajemnego i dążenia ku pożytkowi ogółu Polaków“. Prezesem tego Towarzystwa był Franciszek Kranas, a sekretarzem Semenenko.

Towarzystwo z taką samą nazwą uformowało się i w Besançon pod przewodnictwem Józefa Meyznera, a sekretaryatem Henryka Kałusowskiego i wydało kilka numerów pisemka pod imionami żołnierzy polskich.

Literatura i źródła. Akt utworzenia Instytutu naukowej pomocy 1832, rkps Muz. XX. Czartoryskich w Krakowie. — Compte-rendue de la Société polonaise des études, établie à Paris od 1834 do 1844. — Dziennik narodowy, Paryż 1842. — Gadon L.: Emigracya polska, 1901. — Kalendarz, Paryż 1838. — Komisya funduszów edukacyjnych emigracyi. Paryż 1834. — Krosnowski: Almanach historique, Paryż 1846. — Kronika emigracyi polskiej 1836. — Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie: Materyały rękopiśmienne. — (Nakwaski H.): Uwagi o użyciu najkorzystniejszem czasu w emi-

gracyi, Paryż 1833. — Noworocznik demokratyczny, Paryż 1842. — Rocznik emigracyi polskiej. Paryż 1836. — Rocznik Tow. hist.-lit. w Paryżu z r. 1866—1878. — Statut Instytutu polskiego pomocy naukowej. rkps Muzeum XX. Czartoryskich. — Wiadomości krajowe i emigracyjne, Paryż 1837. — Wielogłowski W.: Emigracya polska wobec Boga i narodu. Wrocław 1848.

Antoni Karbowiak.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wycieczka do Parany

(stanu rzeczypospolitej Brazylii).

Dziennik podróży.

SŁOWO WSTĘPNE.

Wychodźctwo z ziemi polskiej nie ustaje. Trwają wciąż przyczyny, które je wywołują, a mianowicie: szybkie rozmnażanie się ludności i jeszcze szybciej rosnące jej potrzeby kulturalne a zarazem brak dostatecznie obfitych źródeł dochodu i zarobku, któreby czyniły zadość tak pierwszemu jak drugim (t. j. pospiesznemu mnożeniu się ludności i wzrostowi jej potrzeb cywilizacyjnych).

Jest to zjawisko powszechne w każdym żywotnym narodzie lądu europejskiego, zawierającego 422 miliony ludności na przestrzeni 9,896.790 kilometrów kwadratowych.

W ciągu ostatnich lat 30 naród polski pomnożył się w dwójnasób co najmniej. Stało się to skutkiem dwu zdarzeń, które bardzo wpłynęły na zwiększenie środków utrzymania ludności naszej: uwłaszczenie włościan i rozwój przemysłu wraz z postępem gospodarstwa rolnego. Pomnożyły się i zwiększyły dochody i zarobki — nastał lepszy ich podział. Jednak rozrost środków do życia nie posuwa się z szybkością dorównywującą przyrodzonej sile rozrodczej narodu.

Wynikiem takiego stanu rzeczy musi być bezwarunkowo wielka śmiertelność a, ponieważ opasały kulę ziemską nieznane przedtem ułatwienia komunikacyjne, przeto rozpoczął się wielki odpływ ludności polskiej do krajów, gdzie ona znajduje większe dochody i zarobki niż na ziemi rodzinnej. (Na mniejszą skalę odbywa się ruch przesiedleńczy za życiem w samych krajach polskich ze wsi do miast oraz w daleko mniejszym stopniu odwrotnie, z Galicyi zachodniej do siedzib przemysłu naftowego we wschodniej — ze wschodnich gubernii Królestwa Polskiego i Galicyi do Poznańskiego, Śląska, Prus zachodnich i wschodnich).

Wychodźctwo będzie zawsze istniało i to na wielką skalę, dopóki nie nastaną w Polsce stosunki szwajcarskie, belgijskie, amerykańskie, australskie, saskie, nadreńskie, gdzie jest przewaga immigracyi nad emigracyą, a przynajmniej równowaga między tymi dwoma przeciwnymi prądami.

Wychodźcy nasi są wprawdzie nędzarze, lecz nie najbiedniejsi z biednych. Najwięksi biedacy marnieją pod płotem rodzinnym (w rodzinnych strzechach, lepiankach i suterenach). Tak najlepsze maszyny i narzędzia nieużyte i zaniedbane rdzewieją po składach fabrycznych. Cenniejszy od najdroższych maszyn pracownik ludzki ginie u nas w straszniejszej mierze bez pożytku dla siebie i drugich, niż na zachodzie Europy i w zeuropeizowanych częściach świata.

Aby magnesy, pociągające ludność polską, przestały działać, nie ma innego sposobu, jak tylko, żeby albo w krajach dopływu wychodźctwa zapanowały stosunki nasze, albo żeby nasze upodobniły się do tamtejszych. Trzeciego wyjścia nie ma.

Miejmy wiarę w postęp ludzkości i w to, że pierwsze nie nastąpi, lecz raczej drugie, t. j. że kraje polskie, niepowstrzymane przez żadne pęta zastoju i niewoli, zakwitną na podobieństwo tych krain błogich, wytwarzających dla siebie miliardy z pomocą wychodźctwa naszego.

Ale i wówczas nie bedzie zażegnana sprawa wychodźcza a tylko będzie mniej więcej równowaga między odpływem i przypływem ludzkim. Wychodźctwo będzie zawsze istniało, choćby dla ciekawości i nauki, dopóki w społeczeństwie będzie tliło życie.

Nie dający się odmienić życiowy fakt wychodźctwa powinniśmy wyzyskać tak, jak to czynią inne narody, bardzo doświadczone w tej mierze. One nie tylko nic nie tracą na licznych wędrówkach swych obywateli, lecz korzystają w lichwiarski sposób

z ich rozproszenia i skupienia w celach rozszerzenia swego jestestwa drogą handlu, przemysłu i innych wpływów. Wszak Ameryka, Australia i znaczne części Azyi i Afryki są dalszym ciągiem państw i społeczeństw europejskich — obszerniejszych zwykle i potężniejszych od macierzy odnośnych. Nie marnujmy poważnego już zaczątku nowopolskich społeczeństw. Przyrodzony iście amerykański przyrost ludności polskiej woła głośno:

Z żywymi naprzód iść
Po życie sięgać nowe!

W południowej Ameryce, którą zwiedziłem, jako wysłannik Polskiego Towarzystwa Handlowo-Geograficznego, najliczniej i pomyślniej osiedla się żywioł polski w brazylijskim stanie Parana. Inne stany sąsiednie zawierają go mniej i gorzej skupionego pod względem prawdopodobieństwa zachowania właściwości swojskich. Poznałem też i inne kraje prawie pustynne, gdzie nic nie stoi na przeszkodzie bujnemu rozrostowi osadnictwa polskiego.

Praca niniejsze jest tylko opisem wycieczki do Parany. Jest ona gruntowną przeróbką drukowanych urywkowo m. i. we Lwowie „Wspomnień“, które spisałem był prawie zupełnie z pamięci. Albowiem większa część notatek i wszystkie klisze fotograficzne poginęły mi w niewygodach podróży... na deszczu brazylijskim. To, co zostało ogłoszone drukiem, jest właściwie pierwszą notatką, zupełnie na nowo przerobioną. Ta przeróbka czy uzupełnienie „Wspomnień“ polega na przypomnieniu sobie wielu faktów i wrażeń osobistych, nie ujętych z powodu pośpiechu, a nie będących bez wartości, jak mi zaręczają. Ztąd otucha moja i odwaga stawienia się z pracą niniejszą przed sądem szerszej publiczności polskiej, a zarazem obowiązek zdania sprawy przed nią, obowiązek nie całkiem dotąd wypełniony.

Dr. Stanisław Kłobukowski.

ROZDZIAŁ I.

Lwów — Rio de Janeiro. — 19. sierpnia — 13. września.

Lipcowym rankiem we Lwowie, w chwili kiedy mogło mi się śnić o wszystkiem, tylko nie o podróżach, budzi mnie przyjaciel i zaraz po przywitaniu rzuca mi pytanie: „Czy nie pojechalibyście do Ameryki południowej? Towarzystwo św. Rafała [1]) potrzebuje przewodnika dla tysiąca wychodźców, ruszających do Brazylii. Przyjąwszy obowiązki takiego kierownika, będziecie mieli zapewnioną wolną jazdę przez ocean i z powrotem". Nie wahałem się długo. Po kilku minutach istnego zesztywnienia z powodu natężonego myślenia odpowiedziałem, że jadę.

Postanowienie moje, mimo swej szybkości, nie należało do lekkomyślnych. Nieraz bowiem rozmyślałem o stanowisku takiego przewodnika i podróżnika. Przesunął mi się błyskawicznie cały szereg obrazów tego, co można było widzieć i zdziałać w ciągu takiej podróży. Lwów potrzebował wówczas wiadomości dokładnych o wychodźctwie do Ameryki południowej. Wycieczka moja mogła się do ich zebrania przyczynić. Zwłaszcza potrzebowało ich nowo powstałe Polskie Towarzystwo Handlowo-Geograficzne. Jako członek tegoż, miałem moralny obowiązek korzystania z nadarzającej się sposobności, aby mu tych danych dostarczyć.

Wyjazd mój jednak, zamiast nastąpić nagle, opóźnił się na szczęście o kilka tygodni. Miałem więc choć trochę czasu porobienia przygotowań do podróży, aby była jak najobfitsza w skutki.

Wypadało zaopatrzyć się w różne polecenia, ułożyć plan zwiedzania osad naszych na południowej półkuli, oraz porozumieć się w pewnej mierze z światem kupieckim i przemysłowym celem ewentualnego nawiązania stosunków handlowych z polskiemi zamorskiemi koloniami, rokującemi niemałe nadzieje. Po kilku tygodniach rozjazdów, długich konferencyi i wogóle przygotowań, które w sprawie tak ważnej a niedocenionej mogły być niestety tylko bardzo dorywcze, zebrawszy trochę poleceń i próbek towarów (głównie z Warszawy) i wiele błogosławieństw na drogę, wyjechałem na czele jednej z bieżących partyi wychodźców, uda-

[1]) Katolickie towarzystwo niemieckie, mające na celu pieczę nad wychodźcami. Filie jego istnieją w Austryi. Jedna z nich powstała we Lwowie za staraniem kilku arystokratów galicyjskich.

jących się za Atlantyk pod opieką lwowskiej filii Towarzystwa św. Rafała.

Lwów — Wiedeń. — 9.–13. sierpnia 1895 r.

9. sierpnia opuściłem Lwów, wyprzedzając o kilka dni wyprawę tysiąca wychodźców. W Wiedniu chciałem koniecznie poczynić w dalszym ciągu przygotowania do czekającej mnie podróży na drugą połkulę.

Tymczasem tysiąc przyszłych obywateli południowo amerykańskich przybyło do Wiednia o kilka dni wcześniej, niż można było przypuszczać i unicestwiło mi zamierzenia przygotowawcze m. i. widzenia się z ministrem spraw wewnętrznych hr. Gołuchowskim, rodakiem jawnie popierającym sprawę, której się oddawałem. Trzeba było bez zwłoki udać się w dalszą podróż, aby nie narażać wychodźców na wydatki i szkody związane z pobytem przedłużonym w Wiedniu.

Albowiem Towarzystwo Św. Rafała Wiedeńskie w porozumieniu z filią Lwowską zajęło się rano przeprawianiem ludzi naszych, nieumiejących po niemiecku, z dworca północnego do południowego, przeżywieniem ich, zakupieniem im biletów i wysłaniem ich tego samego dnia wieczorem z Wiednia w dalszą drogę. Chodziło o to, aby wychodźcy jaknajmniej zatrzymywali się w Wiedniu tak z powodu kosztów. jak gawiedzi wielkomiejskiej, która zachowywała się względem nich jak względem zwierząt w menażeryi a nie obywateli tego samego państwa.... wreszcie trzeba było unikać zatrzymywania się ze względu na policyę austryacką, niewyczerpaną w pomysłach krępujących ruch taki, jak wychodźctwo. I istotnie już pod wieczór „policaje“ jęli się przyczepiać do roślejszych parobków mówiąc, że pewnie uciekają od wojska. nie mają papierów w porządku i t. p.

Szczęściem udało mi się przy nieocenionej pomocy i inicyatywie p. Adama Kłoskowskiego, pełnego ofiarności urzędnika kolejowego, wyzyskać współzawodnictwo istniejące między koleją południową a państwową w ten sposób. żem osiągnął od jednej z nich dla mego tysiąca emigrantów zniżkę ceny biletów jazdy 3 klasą z 12 złotych reńskich i 59 centów na 6 złr. 29 c. za przejazd z Wiednia do granicy włoskiej.

„Państwowa“ droga żelazna mija granicę pod miastem Pontebbą; tam też oczekiwało wychodźczy hufiec nasz dwóch ajentów

emigracyjnych p. p. Nodari oraz ks. Duda, aby go przenocować i ułatwić mu przejazd do Genui. Niestety trzeba było tę drogę zaniechać i wybrać „południową“, znacznie dłuższą, prowadzącą do granicy włoskiej przez miejscowość Cormons, gdzie nas nikt nie oczekiwał.

Ta zmiana marszruty wytworzyła wielkie trudności, gdyż przyjęcie tysiąca emigrantów, ich przenocowanie, ułatwienie im kupna biletów i t. p. były przygotowane w Pontebbie a nie w Cormons. Obawiałem się, że niedam sobie rady z umieszczeniem i wyprawieniem tak wielkiej ilości ludzi, bardzo biednych i mało oświeconych w kraju włoskim, obcym mi zupełnie.

Jeszcze przed wyruszeniem z Wiednia zaznałem pierwszych przyjemności przewodnika emigrantów. Nadzwyczajny pociąg, wiozący 1000 wychodźców naszych, wyruszał o kwandrans po zwykłym osobowym, którym ja miałem jechać naprzód. Dla uproszczenia expedycyi bagażów dołączyłem moje 4 kuferki do emigranckich: wyszedłem na tem prawdziwie, jak Zabłocki na mydle. Okazało się bowiem, że po za ulgami i ułatwieniami takich drapieżników, jak zarządy kolejowe w Austrji, stoi zwykle zasadzka; dano wprawdzie zniżkę ceny biletów jazdy wychodźcom, lecz nie tylko cofnięto im zwykłą wolną wagę 25 kilo od osoby, ale kazano jeszcze opłacić bardzo drogo za przewóz pakunków, oddanych na wagę (10 złr. od kuferka). Każdy, którego bilet po zniżocej cenie kosztował 6 złr. 29 ctn., płacił 10 złr. za 1 kuferek, 20 za 2 kuferki i t. d. Ja zaś, który miałem całkiem „wolną“ jazdę, musiałem zapłacić 40 złr. na 4 niewielkie pakunki. Dowiedziałem się tedy, co nazywają w Austryi zniżoną cenę i wolną jazdę.

Zbliżyłem się do okienka kasy, aby otrzymać kwit wyprawionych kilkudziesięciu kufrow, których na szczęście było mało, bo każdy nie omal poszedł za radą p. K. i zabrał do wagonu, tyle rzeczy, ile tylko mógł. Przywitał mnie ujmująco słodki uśmiech kasjera. Znając zbyt dobrze te „dobrotliwe“ typy wiedeńskie, których uśmiech pokrywą bardzo często zdradę, przeczułem instynktowo coś niedobrego. Jakoż nie omyliłem się, Pan kasjer pieszczotliwym głosem oświadczył, że mam zapłacić 215 złotych reńskich. Struchlałem. Za 20 minut odchodzi mój pociąg. Istne zachodziło niepodobieństwo w tym czasie od kilkudziesięciu włościan wydobyć na pakunki po 10, 20 i więcej złotych reńskich. Wytłómacz że chłopu, że niezarabiam na tym interesie, że za rzeczy każdy płacić musi więcej niż za bilet! Postanowiłem nie płacić wcale wobec szczupłych funduszów, jakiemi rozporządzałem.

Lecz z drugiej strony zwłoka mogła sprawić, że moje 1000 emigrantów zatrzymałoby się 24 godzin dłużej w Wiedniu. Gawiedź i policya stanęły mu na mysli. Altruizm wziął górę nad samolubstwem. Zapłaciłem. Zdołałem w ciągu 10 minut wycofać całe 110 złr. nadspodziewanie — przypuszczałem, że nie wycofam ani jednego. Ale słyszałem głosy: Pakunki nie warte 10 złr., lepiej niech przepadną".

Wieczorem z uderzeniem 9-tej godziny wyjechałem. Nadzwyczajny zaś pociąg, unoszący wychodźców, opuścił o kwadrans później stolicę naddunajską. O ten przeciąg czasu ustawicznie aż do granicy włoskiej wyprzedzałem swych towarzyszy podróży.

Simmering — Cormons — Udine. — 14.—16. sierpnia.

Wielkie gorąco w wagonie 2 klasy przygotowało mnie nieźle do klimatu brazylijskiego. Po kilku godzinach przebywania w atmosferze pieca od chleba, zasnąłem. Zbudziło mnie zimno dotkliwe i kazało się domyślać, że przejeżdżamy przez szczyty alpejskie Simmeringu. Niestety tylko za pomocą skury swojej, odczuwającej tę zmianę temperatury, a nie za pomocą wzroku swego czułem, że w ciemnościach nocy przejeżdżamy słynną i malowniczą drogą. Dane mi było jedynie oczyma duszy przedstawiać sobie widoki gór, dolin, wąwozów, przepaści, skał, białych arkad, kamiennych mostów i innych świetnych dzieł sztuki inżynierskiej, po których przelatywałem z szybkością sokoła.

Nazajutrz rano znalazłem się na południowej stronie głównego pasma Alp i mogłem zachwycać się tym razem dowoli pięknemi widokami. Niestety usposobienie wewnętrzne przeszkadzało mi korzystać w pełni z czaru obrazów górskich. Od samego wyjazdu z Wiednia trawił mnie niepokój i im więcej zbliżałem się do granicy włoskiej, tem silniej szarpał memi nerwami. Jakkolwiek zdążyłem zawiadomić telegraficznie ks. Salezyanina Dudę i agentów emigracyjnych Nodarich, wyczekujących naszego przybycia na granicy włoskiej w Pontebbie, że jedziemy koleją południową na Cormons a nie państwową na Pontebbę, nie miałem jednak pewności, czy włoski mój telegram doszedł, lub został zrozumiany należycie.

Objeżdżaliśmy tymczasem wielkiem półkołem znaczną przestrzeń państwa austryackiego, przebiegając przez Grac, Lublanę,

Nebresinę i Cormons w ciągu całych 24 godzin; pomykając zaś prosto na Leoben i Willach do Pontebby przebylibyśmy tę drogę w ciągu 12 godzin.

Od czasu do czasu, gdy pociąg mój zatrzymywał się dłużej niż kwadrans na stacyi, pociąg nadzwyczajny towarzyszy-wychodźców doganiał mnie. Korzystałem z tego, by zapoznać się wtedy z nimi, służąc im za tłómacza; wyszukiwali mnie na stacyach, darząc mnie swojem zaufaniem. Jak głównodowodzący mianuje generałów i oficerów, tak też i ja wypatrywałem intelligentniejszych pomiędzy nimi. Chciałem bowiem, o ile można, wszystko wiedzieć, co się wśród nich dzieje, i urządzić się tak, aby to, co miałem im do udzielenia, niezwłocznie wszystkim było wiadomem.

Przejeżdżałem przez ziemie, gdzie toczy się walka uciśnionej Słowiańszczyzny z rozpanoszoną Niemczyzną; dotknąłem się palcem tej wojny podczas pokoju. Jakiś otyły niemiec czy zniemczony odmieniec, brał mnie za jakąś wysoką osobistość i o mało nie złamał krzyża, gnąc się w ciągłych ukłonach przedemną. Ja zaś przybrałem postawę Excellencji. Byłem z nim wyniosły w miarę, lecz zarazem grzeczny i popularny, raczyłem się go spytać, co za czasopisma w nieznanym mi języku ma przy sobie. Były to, jak spostrzegłem od razu, gazety słoweńskie, ludowe i robotnicze. Spiekł raka, jak panna, i zaczął się tłómaczyć z „winy“ czytania takich bezeceństw. „W kraju, przez który jedziemy,“ mówił, są tacy, którzy nie umieją dobrze po niemiecku i włosku, a nawet, o zgrozo! niechcą się wyuczyć tych języków cywilizowanych. Trzeba jednak wiedzieć, co ci Słowianie pisują. Niemógł się dość wydziwić niepojętej łagodności rządu austryackiego, który pozwala w słowiańskiem piśmie socjalistycznem deklamować przeciw militaryzmowi; przypuszczał, że chyba tylko przez nieuwagę przepuszczono bezkarnie frazes rewolucyjny: „Matka, która nie przeklnie militaryzmu, niech sama będzie przeklęta.“ Starał się ująć mnie ten mąż czarnożółty zapewnieniem, że Włosi w ogóle niezmiernie żałują panowania austryackiego. „Są to bardzo dobrzy ludzie ci Włosi,“ powtarzał, ale Słowian, to ja strasznie nienawidzę.“ Gdy, zmarszczywszy brwi, powiedziałem mu sucho, że jestem słowianinem, niechciał wierzyć, zamilkł i patrzał na mnie osowiały, lecz zawsze z największym szacunkiem. Na stacyi następnej wybiegł jak oparzony, bijąc ustawicznie nizkie ukłony przedemną; brał mnie wciąż za wysokiego urzędnika austryackiego.

W Nebresynie i stacyach, bliższych granicy włoskiej, miałem istny atak niepokoju z powodu odpowiedzialności za obrócenie

drogi wychodźców z Pontebby na Cormons. Niemogąc nic jeść z powodu zdenerwowania podnieconego głodem, straciłem na chwilę jakby władzę myślenia. Na jednej stacyi wypadłem z wagonu i naczelnika tejże, urzędnika austryackiego, zagadnąłem lichą włoszczyzną, zaczerpniętą ze słownika: „Signor Capostazione i t. d.“ aby go nie obrazić dźwiękiem niemczyzny i dowiedzieć się dokładnie, kiedy dojeżdżamy do Udine; sądziłem że już przejechaliśmy granicę. „Capostazione“ grzecznie odpowiada lichą włoszszyzną, że przedtem dłuższy czas zatrzymam się na granicy w Cormons, gdzie będzie rewizya pakunków i t. p. Silił się być zrozumiałym przezemnie w języku Danta. Wtem ujrzałem na jego czerwonej czapce i na szklannych drzwiach napis „Stationsvorsteher“. Roześmiałem się serdecznie. Śmieszność takiego swego wystąpienia przywróciła mi więcej spokoju, niż szynka i wino czerwone, łapczywie spożyte zaraz po włoskiej rozmowie z austryackiem naczelnikiem stacyi.

Wreszcie po zachodzie słońca dojeżdżamy do granicy włoskiej, do „Cormons“. Myśl o tej miejscowości niepokoiła mnie. choć wyczekiwałem chwili ujrzenia jej, jak zakochany kochanki. Okazało się, że była to stacya kolejowa i komora wcale nie pierwszorzędna.

Ludzie zdenerwowani w obec nagłego małego niebezpieczeństwa bywają tchórzliwi a w obec wielkiego i nieuniknionego stają się odważni; podobnież i ja przybyłem tam spokojny i wesół, nie bardzo nawet zdziwiłem się temu, że nikt na nas nie czekał.

Naczelnik stacyi, gdy zapytałem go o księdza Dudę i Nodarich, zaraz domyślił się, w jakim interesie przyjechałem. Obecny temu żandarm austryacki wziął mnie na poufną konfenrencyę i wypytywał się z zaciekawieniem i udaną obawą, czy rząd sprzyja emigracyi. czy nie ma chorych i drżał na myśl, żeby Włosi nie cofnęli całej partyi wychodźców z powodu cholery (niby interesował go „Rafał“). Zapytywał wciąż, czy stowarzyszenie to jest w dobrych stosunkach z rządem austryackim. Nie omieszkałem mu na to wyniośle powiedzić, że konferowałem z jego Excellencyą Ministrem spraw zagranicznych, hr. Gołuchowskim, że kierownik nawy państwowej Austro-Węgier rad był mym odwiedzinom, że był bardzo łaskaw na mnie za to, iż podjąłem się tak uciążliwego zadania jak transport wychodźców, że Excellencya Minister sprzyja rozsądnej opiece wychodźctwa t. j. takiej, jaką roztaczają Tow. św. Rafało i Polskie Tow. Handlowo Geograficzne we Lwowie, że właśnie te towarzystwa mnie wysłały i t. d. Słowa me wywierały

wrażenie ogromne na stróżu porządku publicznego.... miękł i topniał jak wosk. Wprawdzie próbował mnie przekonać, że właściwie, gdyby ściśle pełnił swój obowiązek, powinienby bez wątpienia wstrzymać wyjazd tych ludzi, ale że już zarezykuje ich puścić, bo jest człowiekiem wyższego poglądu na świat. Korzystam, powtarzał, z tej okoliczności, że Pan jedziesz z nimi; to mi bardzo ułatwia moralne zadanie nie stawiania przeszkód przejazdowi tych ludzi przez granicę austryacką; tylko każ im Pan zataić wszelkie choroby żołądkowe, albowiem Włosi boją się cholery i z błahego powodu skorzystają, aby cofnąć ich z Udine. Mówię to przez życzliwość i współczucie dla tych biedaków, opuszczających ojczyznę.

Jeszcze nie upłynęło 20 minut od tej rozmówki a pociąg nadszedł i zwaliła się na mnie góra całego tysiąca głów chłopskich.

Wydałem niezwłocznie rozkaz, przyjęty z wesołością i fantazyą, że „nie wolno chorować“; następnie zabrałem się do całogodzinnej pracy wykupywania wszystkim biletu do Udine. Mało kto umiał po niemiecku a nikt zgoła po włosku. Przy okienku kasy, jako znający języki, z łatwością odliczałem pieniądze i odbierałem oraz wręczałem bilety. Wreszcie skończyła się ta praca wśród ciepło kwaśnego zapachu kożuchów rodzinnych i potu mało mytych ciał ludzkich. Lecz był to niejako godzinny spoczynek i zagłuszenie trawiącego mnie niepokoju, który mnie znów opanował. Przechadzałem się szybko po peronie, wypytując się gorączkowo czy nie przybyli nieznani mi ks. Duda i Nodarowie.... niestety nie było ich nigdzie.

Wreszcie ostry głos dzwonka kolejowego rozdarł powietrze. Wszedłem do wagonu 3 klasy, znajdującego się w środku olbrzymiego pociągu emigranckiego, naszykowanego dla nas. Znalazłem się ze swymi wychodźcami, i zacząłem coraz niespokojniej rozmyślać nad tem, jak na ziemi włoskiej umieścić, choćby przez noc, takie mnóstwo mężczyzn, kobiet i dzieci. W głowie układałem plany, a w ręcznym kufureczku papiery. W tem zwiastują mi, że ks. Duda i Nodarowie proszą mnie do „sąsiedniego“ wagonu. Wyleciałem jak z procy na ich przywitanie, nie zamknąwszy nawet kuferka.

Byłem pewny, że za chwilę w ciągu biegu pociągu wrócę do swych rzeczy. Tymczasem „sąsiedni“ wagon okazał się mniej więcej 20-stym, nieposiadającym wewnętrznej komunikacyi z innemi wagonami.

Przywitałem się z nieznajomymi a upragnionymi. Byli to: Ks. Salezjanin Duda. mały, rozmowny i bardzo sympatyczny, oraz dwóch wysmukłych i elegancko przyodzianych pp. Nodari, wreszcie elegant z morskiej piany, otyły i przystojny agent okrętowy Gavotti. Zajęli jeden z ostatnich wagonów długiego niepomiernie pociągu.

Tematu nie brakło nam do rozmowy w ciągu półtorej godziny jazdy z Cormons do Udine. Zbliżyłem się naturalnie najwięcej do ks. Dudy, pochodzącego z Królestwa Polskiego. Zupełnie odżyłem w towarzystwie gorliwego i światłego kapłana. który prawdziwie po nowoczesnemu rozumiał sprawy emigracyjne. i był z niemi znakomicie obeznany.

Do Udine przybyliśmy około 9-tej wieczorem. Gdy olbrzymi nasz pociąg wtoczył się do dworca, wyskoczyłem pospiesznie, by odszukać wagon, w którym zostawiłem kuferek z papierami. Daremny wysiłek! Nim przebiegłem odległość 20 wagonów, aby trafić do tego, w którym pozostawiłem swe manatki, już towarzysze emigranci zaczęli wychodzić z pociągu gromadnie. Peron, coraz więcej zaludniał się naszą biedotą różnego wieku i płci. Powstały stosy pstrych i dziwacznych pakunków a wśród nich kupa ludzi różnego wzrostu w takiej samej pstrej i dziwacznej odzieży. Guńki i burki brązowe, chusty, i spódnice czerwone, bielizna biała i szara czy brudna, twarze ogorzałe, okurzone i przydymione, oczy niekiedy skośne tatarskie a przeważnie rusińskie i polskie (typu rusińskiego chłopa od polskiego nigdy nie umiałem rozróżniać): krzyki i nawoływania jakieś barbarzyńskie — cała ta masa na skąpo oświetlonym peronie robiła nie tylko na Włochach lecz i na mnie wrażenie zakładającego się obozowiska Eskimosów czy dzikich czerwonoskurych. Włosi, urzędnicy kolejowi i wojskowi, przeważnie młodzi i przystojni, stanowili olbrzymi kontrast a z piersi ich wyrywał się okrzyk: „Povra gente!“ (biedni ludzie).

Im dalej i spieszniej posuwałem się, jakby pod wodę rzeki coraz więcej skalistej, do poszukiwanego wagonu, tem większe przeszkody stawały mi na drodze. Kilka razy przewróciłem się i obejmowałem nieponętnie woniejące postacie oraz pagórki miękich i twardych pakunków. Konduktor wstrzymał mnie ostatecznie, obrzucając uszy moje potokami barwnych frazesów włoskich, w których przeważało słowo „bagagli“ (czytaj bagalji). Ujrzałem w jego ręku moje pakunki i kufereczek z papierami.

Napatrzywszy się do syta tłumowi, spływającemu powoli z dworca na ulicę Udimy aż do baraków przygotowanych dla niego,

zaszliśmy spokojnie z ks. Dudą do lokalu na przeciwko dworca. Lecz zamiast upragnionego spoczynku doznałem nagle znów niepokoju z innego atoli powodu. Sprowadziwszy bowiem ręczne pakunki ze stacyi, spostrzegam, że brakuje mi w niezamkniętym na klucz kufereczku wielki żółty portfel nabity najpotrzebniejszymi papierami, jak paszport, listy polecające, notatki i t. p.

Nademnie poszukiwałem zguby w hotelu i na dworcu. Straciwszy nadzieję jej odzyskania, rozpisałem listy do władz policyjnych i dyrekcyi kolejowych w Bolonii, Tryeście, Wiedniu i Lwowie. Skutek tych zabiegów okazałby się świetnym, gbyby nie trochę spóźnionym. Portfel z papierami dostał się do policyi Lwowskiej a ztamtąd do Towarzystwa Handlowo Geograficznego i do mnie do Kurytyby... po kilku miesiącach. Na razie musiałem jechać w świat daleki bez papierów swoich, niby jak człowiek bezbronny i nagi wśród kolców i pokrzyw niepewnej drogi. Niepodobna było zatrzymać się w Europie celem poszukiwań. Okręt wyjeżdżał za dni parę. Stałem bezsilny i jakby sparaliżowany tą stratą papierów legitymacyjnych — bardzo budowałem na nich — miałem o ich niezbędności i czarodziejskiej sile zacofane pojęcia środkowo i wschodnio europejskie.

Sen w nocy z 14-go na 15-sty uleciał z mych powiek bezpowrotnie. Zabawiałem się chodzeniem po miasteczku, przypatrywaniem się błaznowaniu kupca owoców a w końcu że śmiesznym uporem wciąż znowu poszukiwałem papierów po tych samych ubraniach, kufrach i kryjówkach pokoiku hotelowego do nieskończoności i naturalnie bez skutku.

15-sty i 16-sty sierpnia przeszły nam na odbywaniu różnych formalności paszportowych, zakupnie biletów kolejowych do Genui, sprawdzaniu biletów wolnej jazdy morskiej i wreszcie obliczaniu kosztów przeżycia kilku dni, a dla niektórych kilku tygodni w Udine. Niektórzy bowiem musieli pozostać do wyjazdu następnych okrętów: jedni pod pozorem, że na okręcie wszystkie miejsca już były zamówione, drudzy znów chcieli się doczekać krewnych i przyjaciół z Galicyi, przybywających z następną partyą emigrantów.

Każdy wychodźca powinien był otrzymać bilet wolnej jazdy przez morze do Brazylii. Te bilety różni włoscy agenci rozrzucali po Galicyi niby „darmo“, lecz właściwie za opłatą 10 złr., które to pieniądze miały być fantem z góry powziętym na rachunek kosztów przejazdu z Udine do portu i życia na ziemi włoskiej podczas wyczekiwania statku. Całej tej masie ludzkiej trzeba więc

było obliczyć, ile każdy miał otrzymać z owych 10 złr. lub też do nich jeszcze dołożyć.

Nasłuchałem się z tego powodu skarg co nie miara, bo przy tem obliczaniu siedziałem pilnie z obowiązku w salach dusznych i niejasnych, w których przez dzień cały nie było słychać nic innego jak włoskie i polskie wywoływania liczb i nazwisk, sprzeczki, wymyślania i przekleństwa. Zaświadczam jednak, że wszystko odbyło się formalnie i że uwzględniano wedle możności wszelkie zażalenia; czy zaś nie zakradło się przy tych czynnościach nieco wyzysku ze strony agentów, trudno zaświadczyć. Zdaje mi się, że było tego trochę przy przetrzymywaniu ludzi do następnego statku. Zatrzymywano, zdaje się, tych, którzy mieli za co zapłacić koszt przeżywienia się w przeciągu tego czasu.

Pogoda sprzyjała zwiedzaniu miasta i okolicy — czułem się prawdziwie w kraju gorącego Południa, piekłem się na upale, widziałem ruch uliczny bardzo ożywiony, życie całkiem na świeżem powietrzu po za murami kamienic, zauważyłem przytem zupełny zanik dźwięków mowy niemieckiej — mimo pobliża Niemiec, Austryi i Szwajcaryi.

W dzień 15. sierpnia Wniebowzięcia Matki Boskiej nazajutrz po naszem przybyciu, tłumy ludu pojawiły się po kościołach, ogrodach, ulicach, restauracyach 40-stotysięcznego grodu Udine. Zaroiło się świątecznie w całem mieście. — Niestety troski i zajęcia nie spadły na mnie w postaci delikatnego pyłku; pozbawiały mnie one swobodnego odbierania wrażeń wśród tak niezwykłego dla mnie otoczenia.

Pod wieczór 16. sierpnia opuściłem Udine. Przebiegaliśmy płaszczyznę lombardzko wenecką, piękną, uprawną, ludną, zieleniejącą najpiękniejszemi w świecie pastwiskami, umiejętnie nawadnianą strumieniami, spływającemi z Alp siniejących w oddali. Wśród zielonego obszaru sterczały na miedzach rzadkie drzewa, sadzone na opał. Mrok wieczony coraz więcej zasłaniał nam widoki tego uroczego morza zieloności i potężnego muru gór w głębi. Już było zupełnie ciemno, gdy dojechaliśmy do stacyi bardzo bliskiej (niemal przedmieścia) Wenecyi. Ciemną nocą przejechaliśmy przez Veronę i Brescię t. j. część północną słynnego czworoboku fortecznego austryackiego, składającego się, oprócz powyższych 2 fortec niezdobytych, z Mantuy i Cremony. Kraj ten jęczał długo pod despotyzmem austryackim. Zroszony on jest prawdziwie potokami krwi ludów, każda miejscowość przypomina tu

jakąś bitwę, okrucieństwo i męczeństwo. Obecnie ziemia ta włoska jest wolna, najwięcej przemysłowa i najbogatsza we Włoszech.

Medyolan — Liguria — Genua. — 17. sierpnia.

Po nocy, nieszczególnie przespanej a raczej przegawędzonej z ks. Dudą, znaleźliśmy się nazajutrz o świcie w Medyolanie. Przesiadłszy się do innych wagonów, wyruszyliśmy ze stolicy Lombardyi o 6-tej rano. O Medyolanie zdołaliśmy tylko nabrać pojęcia, że to wielkie i piękne miasto.

Krajobrazy od tego grodu stawały się mniej płaskie, aż otoczyły nas zewsząd wyniosłe góry i przepaściste wąwozy pasma Appenin Ligurskich. Zabielał wapień skał i wspaniałych dróg bitych, Tunele, przez które przejeżdżaliśmy, były czemś niesłychanie ciekawem dla siedzących obok nas wychodźców. Wyglądali oknem, wykrzykiwali kiedy „do dziury“ mieliśmy wpadać i to często mylnie, bo kolej żelazna przed górą niespodzianie skręcała w bok, okalając ją, zamiast zanurzać się w jej łono. Uderzały ich wyobraźnię niezwykłe widoki dzikich szczytów skalistów i przepaści oraz dolin i tarasów będących w najwyższej kulturze. To, co się przedstawiało ich oczom, było zupełnie nowe, bo nie widzieli nawet Semmeringu, przez które w noc ciemną przejechali, a nikt z nich nie był góralem. Ligurja okazała się nam, dzieciom płaszczyzn niższej kultury rolniczej, w całej okazałości swych przepychów przyrody i cywilizacyi.

O godzinie 12 w południe stanęliśmy w Genui niemal przy samym porcie.

Genua, po włosku Genova (wymawiaj: Dżenowa) jest to miasto wielkie, liczące blisko 250.000 mieszkańców, lecz miejscami ma pozory małego o uliczkach ciasnych i krętych. Gród ten rozłożył się nad wielką zatoką o brzegach górzystych. Ulice, im dalej brzegu, tem wyżej są położone. Przekonałem się, że niczem jest spadzistość najnierówniejszych części Lwowa albo ulicy Karowej i Oboźnej w Warszawie w obec istnej Szwajcaryi, na której osiadła Genua. Jestto prawdziwe miasto przyszłości, może niedalekiej, skoro zaprowadzoną zostanie komunikacya balonowa... tramwaje na niektórych ulicach musiałyby być systemu wind używanych w wieży Eifel.

Po głównej ulicy nadbrzeżnej, położonej nisko i mającej prawie tylko z jednej strony domy a otwarty widok na przystań,

panuje ruch wielkomiejski, południowy. Ciągnie się ona brzegiem ogromnego półkola zatoki.

Niezwykły dla mieszkańca północy ruch uliczny zmusza co chwila przystawać i przypatrywać się. Szczególnie bawiły mnie majestatycznie kroczące a dziwacznie przy łbie przystrojone muły. Ciągnęły one powoli wózki z owocami i jarzynami.

Wystawiony na afrykański upał musiałem się uwijać za swemi i obcemi sprawami. W mieście nieznanem i z nieszczególną znajomością dziwacznej włoszczyzny genuańskiej, załatwiałem sprawunki dosyć opornie. Jednak rozpocząłem bieganinę pod dobrą wróżbą. W hotelu „Smith“ zastałem telegram od p. Kłoskowskiego z Wiednia, zawiadamiający mnie, że minister Gołuchowski polecił mnie swemu ambasadorowi w Rio de Janeiro.

Z ks. Dudą wybrałem się do konsulatu austryackiego. Zastałem tam zastępcę Konsula, młodego człowieka, bardzo uprzejmego Niemca. Zdawał mi się mało obeznanym z stosunkami brazylijskiemi, lecz zresztą nie tuzinkowym i niezwykle przyjaznym dla naszej narodowości.

Z paszczy komory celnej wydobyłem wielkie 4 paki z próbkami towarów, przysłane z Warszawy. Pół dnia zeszło, jak jedna chwila, na zakupach, wymianie pieniędzy i parokrotnej z ks. Dudą wędrówce do portu; wciąż tam trzeba było pomagać, radzić, tłómaczyć w odurzającym hałasie i chaosie. Wieczorem dopiero ustały nasze czynności, wypływające z obowiązku przewodników. Ks. Duda odjechał do swego klasztoru Salezyańskiego w Sanpierdarena, przedmieściu Genui, oddalonem nieco od środka miasta; ja zaś wróciłem do Hotelu Smith, pono najlepszego w tem mieście.

Po drodze zaczepiły mnie przypadkiem przez pomyłkę 2 przystojne i wytworne damy. Jak się okazało z rozmowy, były to Wenecyanki. Popijając wspólnie w kawiarni czekoladę i wodę gazową (gasosa), usłyszałem z ich ustek surowe potępienie rządu włoskiego za jego postępowanie z Watykanem a jeszcze surowszą naganę kobiet Genueńskich za ich gust, złe obyczaje, otyłość i duże nogi. Jakiś średniego wieku elegant (mąż, brat, kuzyn czy coś podobnego), z którym wypadło mi się zaznajomić, przerwał miłą rozmowę, zabierając panie ze sobą.

Niedziela, 18. sierpnia. — Genua. — Organizacya przedsiębiorstwa przewozowego. — Wyjazd. — Na morzu. — Przyjemności przewodnika wychodźców.

W tym dniu nie świętowaliśmy. Ciągłe bieganiny w sprawie wychodźców zajęły nam zupełnie czas a szczególnie ks. Dudzie. Umówiliśmy się spotkać między 8-mą a 9-tą w porcie, a potem razem jechać do Neapolu. Zeszliśmy się punktualnie o oznaczonym czasie.... by się pożegnać może na zawsze. Zacny ten kapłan całkiem oddany na usługi bliźnim, musiał się niezwłocznie zająć takiemi sprawami jak: chrzest, odwożenie do szpitala, wyrobienie jazdy wolnej, usuwanie przeszkód paszportowych i t. p.

Mimo moich i ks. Dudy zabiegów, 20 rodzin wychodźców nie przyjęto na pokład parostatku Alacrita, którym odjeżdżaliśmy. Porozdawałem zrozpaczonym rodakom listy do ks. Dudy, które były dla nich słabą pociechą w nieszczęściu. Nie należy bowiem do wielkich rozkoszy czekać w nędzy na następny statek i wydawać ostatni krwawo zaoszczędzony grosz.

Organizacya przewozu wychodźców do Brazylii polega na podstawie następującej: rząd brazylijski wchodzi w umowę z kapitalistą i przyobiecuje płacić mu pewną sumę za dostarczanie Brazylyi wychodźców; kapitalista zaś przewozi ich za opłatą tańszą. I tak w chwili, kiedy wyjeżdżałem do południowej Ameryki, „Compania Metropolitana“, spółka mająca swą siedzibę w Rio de Janeiro, zobowiązała się przewieść w ciągu 10 lat, milion wychodźców z Europy, (rocznie 100.000) pobierając od biura emigracyjnego w stolicy Brazylii:

za dostarczenie osoby dorosłej	. . .	120	franków
„ „ dziecka (5—10 lat)	. .	60	„
„ „ „ (2—5 „)	. .	30	„

Należność przypadającą spółce tej rząd wypłaca „Companii“ w ciągu 20 dni po wylądowaniu wychodźców w Rio de Janeiro.

Na wyjezdnem dowiedziałem się, że przejazd okrętem Alacrita nie kosztuje właściwie więcej niż 70 franków od osoby dorosłej i odpowiednio też niższe ceny „Compania“ płaci za małoletnich. Zarobek jej jest tedy niezgorszy, skoro zamiast 70 fr. pobiera od rządu brazylijskiego 120 fr. i tak dalej w tej proporcyi.

Porobiła też ona umowy z towarzystwami i spółkami okrętowemi na przewóz jaknajtańszy mas ludzkich i utworzyła sobie w celu wywołania wychodźctwa ajencye głównie w Lizbonie i Genui; te zaś spłodziły mnóstwo pomniejszych celem dostarczania wolnych biletów jazdy jaknajwiększej ilości ludzi. Częste były nadużycia tego rodzaju że, jak widzieliśmy, agenci kazali sobie płacić nieprawnie, choć tylko nie wielkie, sumki, lub żądali poręczeń n. p. 10 złr. za dostarczenie biletu; poręczeń zaś tych nigdy nie zwracali, zawcześnie kazali ludziom przed odejściem statku przybywać do portu i płacić sobie za ich ugaszczanie przez ten czas; pod różnemi też pozorami opóźniano ich wyjazd aż do chwili, kiedy wychodźcy mieli już tylko mało pieniędzy i t. p. Z tych powodów czy innych, więcej usprawiedliwionych, w porcie Genueńskim pozostało 20 rodzin, które jednak za staraniem ks. Dudy wyjechały za nami statkiem w dwa tygodnie później.

Od dwóch dni na naszym statku „Alacrita" żuraw parowy był czynny, hałasując nieznośnie i podnosząc na pokład bezustannie towary i pakunki. Wychodźcy nasi byli w złotym humorze, podziwiając wszystko, co widzieli: ogromną wodę niebieską, las masztów i kominów w zatoce, wielkoportowy ruch. Kobiety śmiały się i rozwierały szeroko oczy, skoro z rozmaitych oznak na statku zaczęły podejrzywać, że woda morska jest słoną. Jedne drugim udzielały tej wiadomości nadzwyczajnej, rozważniejsze i starsze niechciały wcale wierzyć w takie „głupie gadanie" młodych.

W klasie I. zebrała się starszyzna okrętu Alacrita: zaproszono mnie i kilku młodzieńców z miasta do grona. Przy znakomitym kruszonie z wina czerwonego rozpoczęły się śpiewy chóralne odprowadzających i odjeżdżających; przerwał je gruby ryk gwizdawki okrętowej.

„Alacrita" o 3-ciej ruszyła, posuwając się niezmiernie wolno naprzód. Całe pół godziny przepływaliśmy przez zatokę. Port oddalał się od nas a za nim w głębi wyrastały góry i występowało coraz malowniczej olbrzymie półkole. Jak na dłoni ujrzeliśmy miasto, zalegające podnóża górskie, wybitniejsze jego gmachy, warownie i piętrzące się w głębi pasmo Appenin Ligurskich — wszystko na tle błękitnem nieba i wód. Jestto z pewnością jedna z piękniejszych zatok na świecie. Dopiero, gdyśmy ją minęli, śruba statku poruszyła się szybciej i w krótkim przeciągu czasu widniały już tylko niewyraźne kontury przystani, zatoki i miasta.

Płynęliśmy o parę mil od brzegu Ligurskiego, wykrojonego bardzo zębato z pasma powyższego Appenin nadmorskich. Tylko

przez lornetkę można było dostrzedz ślady nadbrzeżnych siedzib ludzkich. Morze było lazurowe i wcale nie burzliwe, ale dalekie od nieruchomości płyty zwierciadlanej. Kołysaniem statku dawało ono nam zawsze dobitnie uczuć godność swą morską, przypominając bezustannie, że nie jest stawem ani jeziorem. Lecz zachwyt mój nad piękną przyrodą wkrótce zakłócony został burzliwością żywiołów.... znajdujących się nie w okół statku, lecz na nim samym.

Pierzchło usposobienie anielskie, jakie przeważało od chwili wyjazdu pomiędzy wychodźcami. W miarę kołysania się statku powaga wyganiała wesołość — anielskość, wyparowało z serc jakieś dziwne zniecierpliwienie. Na domiar złego nikt ze służby okrętowej nie rozumiał po polsku a nawet po niemiecku.

To też w chwilach koniecznych porozumiewania się z naszymi ludźmi powstawał nieopisany chaos, krzyki i objawy złości. Straszne piekło nieporozumień zapanowało na statku. Ja zaś, ze wszystkimi wygodnie rozmawiając po francusku i trochę po włosku, byłem jedynym pośrednikiem w porozumiewaniu się naszych ludzi z kimkolwiek z wyższej i niższej służby okrętowej. Wszelkie skargi obustronne oraz znoszenia się z lekarzem i zarządem okrętu ze strony niemal tysiąca ludzi, podniecanych nowością wrażeń, musiały się tedy oprzeć o tę jedyną oś pośrednictwa.

Godziny całe przechodziły mi na rozpatrywaniu skarg. Jedni wydziwiali, że nie dostali jeść z kuchni, drudzy, że im inni zabrali jedzenie, trzeci nie chcieli zajadać z drugimi wspólnie i t. p.

Razem z gospodarzem czyli rządcą (commissario) spisujemy rodziny i pojedyncze osobistości. Wszystkich zapisujemy, przeznaczając, kto z kim wspólnie ma jadać, tworząc kółka po 10 osób. Głośne nieporozumienia, skargi, kłótnie zagłuszały nawet hałas śruby okrętowej. Wszyscy byli skwaszeni i rozjuszeni jedni na drugich, wymyślali sobie a najwięcej władzy okrętowej, omal że się nie bili z sobą i marynarzami włoskimi, którzy patrzyli na nich, jak na waryatów. Miałem wrażenie, żem przeniesiony w zamierzchłą przeszłość, kiedy to psotne chochliki, czarownice i bóstwa złośliwe, zadawały czary i trucizny, działające bezpośrednio na mózg i serce; albowiem widziałem najstarszych i znanych ze spokoju, rozwagi i bierności chłopów, rzucających się jak opętani.

Uspakajamy rozzłoszczonych. Nic nie pomaga. Opozycya rośnie głównie przeciwko rozporządzeniu okrętowemu, tworzącemu grupy dziesiętne dla wspólnego odbioru żywności. Upierano się koniecznie, by można było brać jedzenie osobno dla każdej ro-

dziny; bo ci, z którymi ich złączono, często nie znali się ze sobą lub nienawidzili się z całego serca.

Upadam ze zmęczenia wśród wrzasku i ogłupiających zażaleń i zapytań. Chcę się odświeżyć na osobności imponującym zaiste widokiem górzystych brzegów Liguryi i morza. Na próżno! Wynajdują mnie w każdej kryjówce.

Położenie moje staje się coraz przykrzejsze. Z jednej strony nie mogę zezwolić na krzywdę naszych ludzi, z drugiej nie chcę się zbytnio narazić komisarzowi, który mnie wciąż prosi, abym mówił, czego właściwie chcą moi rodacy. Gdy zdawało mi się, że mu powiedziałem co przykrego, przepraszam go, on mnie. Wydaje mi się ten Genueńczyk człowiekiem zimnym, cierpliwym i praktycznym, któremu chodzi, abym miał dobre wyobrażenie o statku. Jest on dla mnie zagadką: poczciwiec to, czy przewrotny. Miewałem z nim przy największem rozdrażnieniu chwile wesołe, n. p. gdy mówił o bosej Kaśce lub Zośce: „Cette Dame“ a o Bartku lub Hryciu: „Ce Monsieur“. Nie mogłem się wówczas uspokoić ze śmiechu, mimo swych przekonań demokratycznych o równości wszystkich ludzi ze sobą.

Dopiero noc a za nią sen obezwładniły i uspokoiły ostatecznie rozdrażnione nerwy podróżników na Alakrycie.

Dr. Stanisław Kłobukowski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z życia Kajetana Węgierskiego

Pamiętniki i listy

WYDAŁ

Dr. Stanisław Kossowski.

Z dotychczasowych opracowań historyi życia i twórczości Węgierskiego[1]) było wiadomem, że poeta w r. 1779 opuścił Polskę, by nigdy już w życiu granic jej nie ujrzeć. Porzucał ojczyste strony, z żalem w sercu i poczuciem, że stała mu się krzywda, że w rzeczy pospolitej dla sprawiedliwości miejsca niemasz. Śmiałe słowa, rzucone w oczy królowi i trybunałom polskim w „Uwagach w sprawie Węgierskiego z Wilczewskimi“: „ale niech jak kto chce myśli, żadne uwagi ust mi zamknąć nie potrafią, kiedy o sprawiedliwość, o całość obywatela chodzić będzie, i jeżeli mię kiedy przemoc, czego się nigdy nie spodziewam, przyci-

---

[1]) Bibliografia zestawiona sumiennie u Estreichera w wydaniu poezyi Węgierskiego: Pisma wierszem i prozą Kajetana Węgierskiego. Lwów 1882. Tam też jako wstęp obszerne i do dziś najlepsze studyum o Węgierskim. Uzupełnień od tego czasu jest bardzo niewiele: Batoski Zygmunt Dr.: Węgierskiego wiersze drobne w stosunku do poezyi Woltera. Czasopismo akademickie. Lwów 1897; Szyjkowski Maryan Dr.: Organy K. Węgierskiego. „Przewodnik nauk.-liter.“ Lwów 1907 (styczeń) i w odbitce.

śnie, z pod ciężaru jej usłyszy świat skargi moje“, zapędziły poetę i jego wydawcę Dufoura do wieży. Przez rok i sześć tygodni mógł w niej poeta rozmyślać o wszystkiem, co go spotkało. Stosunki z dworem i królem, nigdy zbytnio serdeczne, były zerwane, do ich naprawy wszelkie mosty spalone, w społeczeństwie warszawskiem, tem rojnem i gwarnem, wśród mieszkańców syreniego grodu, był znienawidzony, bo smagał ich nielitościwie biczem swej satyry. Głośny był wprawdzie i znany, wyszczególniany nawet przez innych braci w Apollinie, jak Trembeckiego i Zabłockiego, lecz u innych wierszorobów pośledniejszej miary, czepiających się skwapliwie królewskiego dworu, jakoteż u ogółu warszawskiego, miał herostratową sławę; ciskał gromy i pociski, i sam był ich celem. Zachęcał go wprawdzie Trembecki, by wytrwał na tej drodze: (Do Kajetana Węgierskiego):

„A choć wszystkich spodlone i myśli i sprawy
Zemstą grożą objawcy miasto jej poprawy,
Niech jednak to Węgierski, ciebie nieodstręczy,
Śpiewaj rozum i cnotę, niech błąd w błocie brzęczy,
Ja ci równie przyrzekam, nie odmienię tonu,
Bym się żywił z jednego wraz z tobą zagonu.“

lecz w tym samym wierszu jasno mu przepowiadał, że dla niego niema właściwie miejsca w rzeczy pospolitej:

„Twój dowcip wierszopiski już na śmierć sądzony
Bez względu, że obfite mógłby wydać plony,
Ojczyźnie, gdyby znała sposób rozkrzewienia
Twych przymiotów, szczepionych ręką przyrodzenia.
Lecz w jakiejże cię zbrodni w tym czernią obrazie?
Oto żeś wiersz poświęcił Satyry urazie,
Horacy, Juwenalu!...“

Wśród takich stosunków, dotknięty nadto głęboko wielką a niezasłużoną karą, poeta opuszcza ojczyznę. Rzucili mu ostatnie pożegnanie na drogę Trembecki i Zabłocki, lecz echa te już — zdaje się — poety nie doszły: a w ojczyźnie swej, jak szybko zajaśniał, stał się głośnym i strasznym, tak też szybko przeminął i przebrzmiał; wiersze jego, satyry i paszkwile, te sławne, rozrzucane z fiakrów po ulicach Warszawy a nie oszczędzające jej pierwszorzędnych osobistości, krążyły w odpisach — przeważnie bezimiennie — i ulegały zniszczeniu, a poetę ogół zabijał milczeniem. Darmobyśmy szukali jego imienia u Krasickiego, Adama

Potockiego lub Dmochowskiego. Węgierski tymczasem rozpoczął swą wędrówkę, która miała skończyć się ostatecznie złożeniem głowy na obcej ziemi. Z tej wędrówki zachował się nam materyał stosunkowo obfity; miał go w ręku Lucyan Siemieński, jednak tylko w części pewnej:[1]) na tych znanych sobie pamiętnikach i listach oparł swą charakterystykę poety; za nim poszedł w omawianiu ostatnich lat życia poety Estreicher w swem doskonałem i do dziś jedynem prawie studyum o Węgierskim; jednak obaj znali te pamiętniki i listy tylko w części, dalekiej od jakiejś całości, a przechowywanej zrazu jako własność prywatna ś. p. Żegoty Paulego, dziś wśród rękopisów Bibl. Jagiellońskiej (nr. 5634). Jednak wśród pamiętników tych były tak wielkie braki (dziejów rękopisu niepowtarzam, bo są podane u Siemieńskiego), że o wyrobieniu sobie z nich jakiegoś obrazu ostatnich lat życia poety, prócz pewnych ogólnych danych, nie było mowy; ponadto zarówno Siemieński, jak i Estreicher, nie potrafili wyzyskać ich jako materyał literacki, nie ustrzegli się nadto w ich omawianiu i opisie — co i niedziwne wobec mocno zdefektowanego ich stanu — od zasadniczych błędów. Tymczasem wśród rękopisów biblioteki hr. Chreptowicza-Buteniewa w Szczorsach na Litwie, która stała się dostępną dla pracy naukowej dzięki prof. Stanisławowi Ptaszyckiemu i wydanemu przez niego katalogowi rękopisów, znalazły się dwa rękopisy pamiętników i podróży Węgierskiego, które znamienicie uzupełniają braki rękopisu jagiellońskiego. Jest to rękopis nr. 48: Voyage en Italie de Mr. Cajetan Węgierski. T. I.—II. i nr. 49: Voyage dans l'Amerique septentrionale du Comte T. V. Polonais. Przez skombinowanie tych rękopisów z jagiellońskim można stworzyć z nich pewną całość, zwłaszcza, że nietrudno stwierdzić na podstawie partyi wspólnych, że rękopisy szczorsowskie są kopią jagiellońskiego z tego stadyum, gdy był jeszcze w całości. Są one wprawdzie kopią niedbałą, niedorównującą rkp. jagiellońskiemu, przeznaczonemu widocznie do druku, lecz cenne przez to, że przechowały nam z większej części pamiętników te miejsca, które uległy w rkp. jagiell. zniszczeniu. Z pamiętników tych i listów rozpoczynamy dziś druk rzeczy chronologicznie późniejszych, historyę życia poety w r. 1783, ujętą

---

[1]) Siemieński: Portrety literackie. I. 147—185.

Tenże: Wieczornice, powiastki, charaktery, życiorysy i podróże, zebrane przez ... Wilno 1854. T. I. str. 112—162: Podróże i pamiętniki Tomasza Kajetana Węgierskiego.

w formę „Listów do przyjaciółki w Paryżu w czasie podróży do Martyniki“, list paryzkiej kochanki Julii, stanowiący doskonałe uzupełnienie pamiętników z podróży do Martyniki i „Dziennik z podróży do Ameryki północnej“. Wszystkie trzy stanowią całość, dają obraz jednego roku — jak powiedziałem — w życiu poety. Następnie pójdą rzeczy inne: „Dziennik podróży po Włoszech z r. 1779 i 1780“, listy prywatne poety z ostatnich miesięcy życia i pamiętnik jego z ostatnich niemal chwil. Ogłaszane pamiętniki i listy nie mają — bez wątpienia — jakiejś wartości rzeczowej; zawierają jednak całe mnóstwo szczegółów do życia poety i stosunku jego do ojczyzny, zmieniają pod niejednym względem zasadniczo dotychczasowe o nim mniemanie, stanowią cenny materyał biograficzny, nie pozbawiony tu i ówdzie bystrych spostrzeżeń obyczajowych, a okraszony bogato tem wszystkiem, co nadało Węgierskiemu nazwę „polskiego Woltera“. Wobec zamierzonego druku dalszych części pamiętników, nie wdaję się na razie w bardziej szczegółową ich ocenę: znajdzie to wszystko miejsce w obszernej przedmowie przy publikacyi, obejmującej rzeczy czasowo-wcześniejsze i tam będziemy się starali dać na podstawie tych materyałów duchowy profil poety, omówić obszernie ich znaczenie, dać objaśnienia krytyczne. Pojawiająca się obecnie część podana jest jako materyał surowy, „in crudo“; niech sam poeta mówi za siebie.

Nie jest winą wydawcy, że pamiętniki pojawiają się równocześnie w przekładzie polskim. Przy dokonaniu przekładu staraliśmy się, by był on nie tyle pięknym stylistycznie, ile możliwie wiernym co do treści, od którejto zasady odstępowaliśmy tylko wówczas, gdzieby to było ze szkodą języka ojczystego.

W końcu uważam za swój obowiązek złożyć szczere podziękowanie p. Jurgensonowi, plenipotentowi dóbr szczorsowskich, za łaskawe udzielenie mi rękopisów do wyzyskania.

I. Lettres écrites en forme de journal à une amie à Paris pendant le Voyage à la Martinique en 1783.[1]

Par le 37° 47' de Latitude Nord.
le 22. Mai 1783. á bord de la Ville du Cap.

I'ai été si cruellement malade, les premiers jours de notre navigation qu'il ne m'a pas été possible de sortir de mon hamac. C'est là où dans les courts intervalles de mes souffrances, je me suis occupé de toi. Je te devidais, je te déroulais et quand j'avais fait passer dans mon esprit la gallerie agréable des momens delicieux que j'ai éprouvés auprès de ma chere Julie, je recomencais sur nouveaux fraix. Tu ne peux point te figurer les maux

[1]) U dołu rękopisu: „Tome II. 1ere partie" i słowa: „ey jointe une carte de cette isle". Karta ta w rękopisie się nie zachowała, uległa zdaje się zniszczeniu wraz z większą jego częścią; jest to jednak jeden z dowodów, że rękopisy te były przeznaczone do druku.

I. Listy do przyjaciółki w Paryżu, pisane w formie dziennika podczas podróży do Martyniki w r. 1783.

Pod 37° 47' szerokości półn.
22. maja 1783, w mieście Cap.

Byłem tak strasznie chory, że w pierwszych dniach naszej żeglugi było mi niemożliwem wychodzić z mego hamaku. Wówczas to, w czasie krótkich przerw moich boleści, zajmowałem się Tobą. Przywoływałem Cię pamięcią, snułem myśl o Tobie, i kiedy przesunąłem w moim umyśle przyjemną kolej miłych chwil, które doznałem koło mojej drogiej Julii, rozpoczynałem na nowo. Nie możesz sobie wyobrazić wcale bolów, w jakie ta nieszczęśliwa po-

que ce malheureux voyage a accumulés sur moi. Je prens depuis long-tems sur mon courage ce qui manque à mes forces, mais je ne prévois pasqu'il puisse y resister, si cela continue. J'ai vomi pendant cinq jours avec de si grands efforts, qu'outre le dégout et la fatigue que cela me cause, il ne m'est pas possible de digerer la plus legere nourriture, tant mon estomac est affaibli. Aujourd, hui qu'un calme absolu a diminué le roulis du vaisseau, je me suis trainé sur le pont pour prendre l'air et pour t'écrire un mot. Je ne prévois pourtant pas, quand cette lettre t'arrivera. Si ce calme continue nous serons peut-être deux mois en mer, et il en faut autant pour qu'elle te parvienne: elle ne pourra partir que de la Martinique. Tu sauras au moins un jour ce que j'ai fait depuis mon embarquement et tu pourras juger par l'emploi de mon tems si tu as occupé mes pensées. Au reste si s'entendre parler de soi, ne t'amuse pas, ce journal sera assez ennuyeux: car à moins que quelque tempête ne viene nous tirer de l'uniformité, dans la quelle nous végétons, tous les jours se ressembleraient les uns aux autres. Les vents nous ont servi à souhait les premiers jours; nous faisions 60 lieues dans les 24 heures, et nous avons decapé facilement, mais tout d'un coup ils ont

---

dróż mnie wpędziła. Od dawna dopełniam moją odwagą to, na czem zbywa moim siłom, ale nie przewiduję, aby mogły one oprzeć się, jeżeli tak dalej pójdzie. Wymiotowałem podczas pięciu dni z taką siłą, że oprócz wstrętu i zmęczenia, jakiego doznaję, niepodobna mi strawić najlżejszego pokarmu; tak dalece mój żołądek jest osłabiony; dzisiaj gdy zupełny spokój zmniejszył kołysanie okrętu, zawlokłem się na pokład, aby odetchnąć świeżem powietrzem i skreślić parę słów do Ciebie. Nie przewiduję jednak, kiedy ten list Ciebie dojdzie. Jeżeli ten spokój będzie się przedłużać, będziemy może dwa miesiace na morzu i tyleż czasu potrzeba, aby ten list Ciebie doszedł; nie będzie mógł wyjść, jak tylko z Martyniki. Będziesz przynajmniej wiedziała kiedyś, co ja robię od mego wejścia na okręt i będziesz mogła sądzić po użyciu mego czasu, czy zajmowałaś moje myśli. Zresztą jeżeli nie bawi Cię słyszeć mówiącego o sobie, to ten dziennik będzie dość nudnym; bo chybaby jakaś burza wyrwała nas z jednostajności, w której żyjemy; wszystkie dnie podobne są jedne do drugich. Wiatry służyły nam wedle życzenia w pierwszych dniach: robiliśmy 60 mil w 24 godzinach i opłynęliśmy łatwo przylądek, ale raptem wiatry przestały dąć i niema już o nich mowy. Morze

cessé de souffler, et il n'en est plus question. La mer est aussi unie que cette glace qui servait à répéter nos plaisirs et à multiplier notre bonheur. Que ces deux situations se ressemblent peu! Quand serai — je assez heureux pour me retrouver dans tes bras? et faut-il, que mille obstacles viennent prolonger mon absence, et m'ôter même les illusions de l'espérance? Mais, si tu m'es fidelle, si ton coeur n'est point changé pour moi, il viendra ce tems désiré, et je retrouverai les delices de mon ame pour ne plus jamais les quitter.

23. Mai.

Nous avançons à pas de tortuë, quoique le vent ait fraichi un peu; nous ne faisons qu'une lieuë par heure. L'uniformité de nos occupations a été interrompuë par l'arrivée d'un assez joli oiseau, qui est venu se perchez sur les Mats; cela a mis du mouvement dans le vaisseau. Tout le monde s'est acharué après la pauvre bête, qui était presque morte de fatigue, et ne se transportait qu'avec peine d'un cordage à l'autre. On l'a attrappé

---

jest tak gładkie, jak to lustro, które służyło do powtarzania naszych przyjemności i do pomnażania naszego szczęścia. Jak te dwie sytuacye mało są do siebie podobne! Kiedy będę dość szczęśliwym, aby się napowrót znaleść w Twoich ramionach? I czy potrzeba, aby tysiące przeszkód przyczyniało się do przedłużenia mojej nieobecności i do odjęcia mi nawet złudy nadziei? Ale jeżeli Ty mi jesteś wierną, jeżeli Twoje serce nie jest wcale dla mnie zmienione, to przyjdzie ten czas upragniony i ja odnajdę rozkosze mojej duszy, aby ich już nigdy nie opuścić.

23. maja.

Postępujemy żółwim krokiem, chociaż jest trochę wiatru: robimy tylko jedną milę na godzinę. Jednostajność naszych zajęć przerwało przybycie dość ładnego ptaka, który usadowił się na masztach: to wprawiło w ruch towarzystwo obecne na okręcie. Wszyscy uwzięli się złapać biedne stworzenie, które było prawie martwe ze zmęczenia i tylko z wielkim trudem przenosiło się z jednej liny na drugą. Złapano je wkońcu. Był to zdaje się wróbel

à la fin; c'est je crois, un moineau de Madere: mais nous n'en jouirons pas long-tems. Un être accoutumé à la liberté ne supportera pas long-tems les grilles de la cage, ou on l'à enfermé. Á Paris l'arrivée d'un Prince Souverain ne fait pas tant de sensation qu'en a fait ici celle de ce pauvre animal. C'est l'événement le plus marqué qui nous soit arrivé depuis notre voyage. Ce matin on a vu passer une tortue: elle semblait nous défier à la course, mais le pari n'a point été accepté. Nous avons aperçu aussi de très loin un vaisseau, qui a disparu une demi heure après; c'est le quatrieme, que nous avons vû depuis la traversée. Un objet quelconque qui arrête un instant nos regards, sur cette vaste pleine, sur laquelle nos yeux errent sans cesse, est un point de vuē très — intéressant.

Je vous donnerai de nouvelles de la pêche que nous projettons: celle que nous avons tentée depuis deux jours, ne nous a pas réussi. Des marsouins sont venu nous insulter: nous avons vû aussiquelques souffleurs, qui nous ont jetté de l'eau aux yeux; mais ils n'ont point été tentés de venir à bord. Il est vrai, que la vie, que nous y menons, n'est guères seduisante. Après dix ou onze heures de sommeil, interrompu à chaque instant, on de-

---

z Madery: ale nie będziemy się nim długo cieszyć. Istota przyzwyczajona do wolności nie zniesie długo krat klatki, gdzie ją zamknęli. W Paryżu przybycie panującego księcia nie zrobi takiego wrażenia, jak tu zjawienie się tego biednego stworzenia. Był to wypadek najbardziej znamiennny, jaki się nam zdarzył w naszej podróży. Dziś rano widziano przepływającego żółwia, zdawał się nas wyzywać do wyścigu, ale zakład nie został wcale przyjęty. Spostrzegliśmy także z bardzo daleka okręt, który znikł w pół godziny potem; był to czwarty jaki widzieliśmy od naszego wyjazdu. Jakikolwiek przedmiot, który zatrzymuje choćby na chwilę nasze wejrzenia na tej rozległej równinie, na której nasze oczy błądzą bez przerwy, jest widokiem bardzo zajmującym. Opiszę wam połów, jaki mamy w zamiarze: ten który projektowaliśmy od dwóch dni, nie udał się. Świnie morskie przyszły nas obrażać: widzieliśmy także kilka wielorybów, które ciskały nam wodę do ócz; ale one nie miały ochoty wejść na pokład. To prawda, że życie, które tu pędzimy nie jest wcale pociągające. Po dziesięciu lub jedenastu godzinach snu, co chwila przerywanego, śniada się.

jeune. La toilette vient, ensuite. C'est une occupation qui ne m'a pas pris, jusqu'à present, beaucoup de tems. Je n'ai pas encore quitté ma robe de chambre. Ma barbe est d'une longueur prodigieuse.

Hier à la sollicitation de la compagnie, j'ai resolu de m'en separer, mais au premier essai, Richard a mangué de m'emporter la moitié de la levre: et un gros emplâtre, appliqué sur la playe a augmenté le nombre de mes agrémens, sans diminuer celui de mes poils. J'aurai bientôt l'air d'un Fleuve — cela ne cesse pas d'être plaisant en Mer. Cette episode m'a empêché de rendre compte du reste de la journée. A midi on dine. Rien n'est comparable à la saleté de nôtre nappe, que l'on ne change que tous les huit jours. Le mouvement du vaisseau fait que les sauces s'y repandent en abondance; cette profusion de différentes couleurs qui la fait ressembler à la palette d'un peintre, ajoûte au dégout qu'inspirent nécessairement et le genre des mets, qui y sont servis, et la maniere de les accommoder. Tout cela pourtant ne commence à m'intéresser que dès aujourd'hui; car c'est le premier jour, que j'ai paru à table. Nous soupons à six heures et demie; et puis on ne fait qu'un saut de la salle au lit. J'ai

---

Potem przychodzi toaleta. Jest to zajęcie, które do obecnej chwili nie zabrało mi dużo czasu. Jeszcze nie porzuciłem mego szlafroka. Broda moja jest nadzwyczajnej długości.

Wczoraj, na życzenie towarzystwa, postanowiłem rozstać się z nią, ale przy pierwszej próbie, Ryszard o mało mi nie odciął połowy wargi, a wielki plaster, przyłożony do rany, powiększył liczbę moich wdzięków bez zmniejszenia ilości włosów mego zarostu. Wkrótce będę miał wygląd rzeki, co będzie dość zabawnem na morzu. Ten epizod przeszkodził mi zdać sprawą z reszty dnia. O dwunastej obiaduje się. Nic nie da się porównać z brudem naszego obrusu, który zmieniają tylko raz na tydzien. Ruch okrętu jest przyczyną, że sosy rozlewają się po obrusie obficie; ta obfitość rozmaitych kolorów, która czyni go podobnym do palety malarza, przyczynia się do obrzydzenia, jakie naturalnie wzbudza gatunek potraw, na nim podawanych i sposób ich przyprawienia. Wszystko to jednak zaczyna mię zajmować dopiero od dziś; dziś bowiem po raz pierwszy zjawiłem się u stołu. Jemy kolacyę o pół do siódmej; potem daje się tylko jeden skok ze sali do łóżka.

oublié de te dire, que l'on prie Dieu trois fois le jour. Moi, j'employe ce tems à t'adresser des voueux, que tu n'entends pas, à l'exemple de toutes les Divinités, du monde. Tous mes soupirs se perdent dans l'immensité de la distance qui nous separe: et peut-être quelqu'un plus heureux que moi te fait agréer l'encens qu'il brûle à les pieds.

27. Mai Mardi. 32° 26" Latit. Nord.
à peuprès la hauteur de Madère.

Nous menons une vie si ennuyeuse, si monotone qu'avec la meilleure volonté du monde il me serait impossible de remplir une page avec ce que cette façon de vivre m'inspire. La vie du moine le plus oisif est pleine d'activité, en comparaison de la nôtre. Les heures s'écoulent et nous retrouvent à la même place, et à la même occupation; et le cours des astres n'est pas plus réglé que nos passe tems. Nos repas sont les epoques les plus remarquables de notre vie, et sans que les Syrenes semêlent de la metamorphose, nous allons être bientôt changés en pourceaux —

Zapomniałem ci powiedzieć, że modlą się tu do Boga trzy razy dziennie. Ja używam tego czasu, aby zwrócić ku tobie moje życzenia, ale ty ich nie słyszysz na wzór wszystkich bóstw świata. Wszystkie moje westchnienia gubią się w ogromie odległości, która nas dzieli; i może ktoś szczęśliwszy odemnie każe Ci przyjąć kadzidła, które pali u twoich nóg.

27. maja, wtorek, 32° 26". Szerok.
półn. prawie na wysokości Madery.

Prowadzimy życie tak nudne, tak monotonne, że z najlepszą wolą i pomimo jej trudno by mi było zapełnić jedną stronicę tem, czem ten rodzaj życia może natchnąć. Życie zakonnnika, najbardziej próżnującego, jest pełnem czynności w porównaniu z naszem. Godziny upływają i odnajdują nas na tem samem miejscu i przy tem samem zajęciu; a bieg gwiazd nie jest regularniejszym od naszego zabijania czasu. Nasze posiłki — to najbardziej różne epoki naszego życia, i bez wmieszania się syren do metamorfozy, zostaniemy wkrótce zamienieni w prosiątka — mamy już ich nie-

nous en avons déja la malpropreté et la gourmandise. Cependant notre vaisseau au lieu de „fendre les flots de sa proue aimantée" se balance mollement sur une mer tranquille: Ni les voiles nombreuses, ni les ardentes prieres des matelots ne le font avancer d'un pas; les vents assistent sans doute à quelque conseil à la lour sombre, ou sont employés à former quelque ouragan désastreux, ou preparer quelque terrible tremblement de terre. Le fait est, que nous n'en avons pas et que nous sommes depuis deux fois 24 heures à la même place. Comment ne pas s'impatienter? comment ne pas s'ennuyer d'un contretems aussi deplacé? Toutes ces heures sont dérobées à la masse du tems, que j'ai destiné à être absent de toi, ou reculent peut-être le moment heureux de mon retour. Les craintes les soupçons, la connaissance de ma mauvaise fortune — agitent mon ame; et je souffre, quand je ne m'ennye pas. Une grande partie de ma journée est pourtant enlevée par l'étude de l'anglais, et sans me vanter, j'y ai fait de jolis progrès. Je suis à la moitié d'un très gros livre, que je comprends très — aisément, à l'aide d'un di-

---

czystość i łakomstwo. Jednak nasz statek zamiast „przerzynać fale swoim namagnesowanym przodem" kołysze się miękko na spokojnem morzu: ani mnogość żagli, ani gorące modły majtków, nie posuwają go ani o jeden krok; wiatry znajdują się zapewne na jakiemś zebraniu na dworze ciemności lub też są użyte do utworzenia jakiegoś niszczącego huraganu lub przygotowania jakiegoś strasznego trzęsienia ziemi. Faktem jest, że wiatrów nie mamy i że znajdujemy się od dwóch dób na tem samem miejscu. Jak tu nie niecierpliwić się, jak się nie nudzić ze zwłoki tak nie na czasie. Wszystkie te godziny odjęte są całej ilości czasu, który postanowiłem spędzić zdala od Ciebie. oddalają być może szczęśliwą chwilę mego powrotu. Obawy podejrzenia, świadomość mego pechu — wzruszają moją duszę; i ja cierpię, kiedy się nie nudzę. Jednak wielka część dnia jest zajęta przez naukę angielskiego, i bez chwalenia się, zrobiłem w nim znaczne postępy. Jestem w połowie bardzo grubej książki, którą z pomocą

ctionaire; j'en pourrais donner une traduction comme un Académicien. Tu permettras, que je te quitte pour aller le reprendre.

P. S. J'ai oublié de te dire, que notre oiseau est mort.

Le 1. Juin Dimanche.

C'est assurement un démon ennemi, ou un genie malfaisant qui m'a inspiré l'idée de ce voyage; rien n'égale les désagrémens que j'y éprouve. Au calme, dont je t'ai parlé, a succédé un vent affreux mais contraire; la mer, étant devenue très-grosse je tombais malade presque sans connaissance, et après avoir vomi des torrens, je restais 24 heures anéanti. La nuit du 29 au trente nous essuyames une tempête horrible, qui nous obligea de mettre à la cape, où nous avons resté soixante heures. Le vent a molli un peu depuis, mais il ne se range pas du bon côté; et nous reculons au lieu d'avancez. L'état où je suis depuis quatre jours, me rend indifférent à tout; et l'impatience d'être contrarié, est à peine compté pour quelque chose, quand on souffre aussi cruellement. — Je ne puis me tenir débout, et le lit m'échauffe sin-

---

słownika rozumiem bardzo łatwo; mógłbym jak akademik zrobić jej przekład. Pozwolisz, abym Cię opuścił, do niej wrócić.

P. S. Zapomniałem Ci powiedzieć, że nasz ptak zginął.

1. czerwca, Niedziela.

Był to z pewnością nieprzyjazny demon albo złośliwy geniusz, który mię natchnął myślą tej podróży; nic nie da się porównać z przykrościami, jakich w niej doznaję. Po ciszy, o której Ci mówiłem, nastąpił straszny, ale przeciwny wiatr; morze wezbrało bardzo; chory, prawie bez zmysłów, upadłem i wydawszy ze siebie całe potoki pozostawałem 24 godzin zupełnie wzburzony. W nocy z 29 na 30 przetrzymaliśmy straszną burzę, która zmusiła nas użyć największego żagla, pod którym zostawaliśmy przez 60 godzin. Odtąd wiatr trochę ustał, ale nie zwraca się w dobrą stronę i my cofamy się zamiast postępować. Stan w jakim się znajduję od czterech dni czyni mię obojętnym na wszystko; i niecierpliwość przeciwieństwa zaledwie może być liczona za coś, gdy się cierpi tak strasznie. — Nie mogę ustać na nogach a łóżko

gulierement; la nourriture est mal-saine, l'eau gâtée; et je ne vois ni le moyen de remettre mon estomac, ni celui de m'accoutumer à ce genre de vie. Depuis trois semaines, que je suis à bord, je ne sais que souffrir, et aller de mal en pis: je ne sais ce qui en resultera. Ce qui me rend cette façon d'être plus insupportable, c'est qu'elle me rend incapable de m'apliquer à la moindre chose. — Les heures se trainent lentement, et je ne trouve rien, qui puisse me derober quelques instants à la douleur, à la tristesse, à l'ennuy.

Le 3. Juin.

Les vents continuent d'être contraires, et nous soufflent la rage dans le coeur. Il est vrai, qu'avec la moitié de mes raisons, il y aurait dequoi être au déses poir' de ce contretems. — Ne sois pas etonnée de trouver du noir dans ce que je t'écris. Je succombe sous la quantité des maux qui m'accablent. Aucun soulagement, aucun rayon d'espérance, ne se presentent à mon esprit — qui est abbatu et incapable de sécourir le corps dans ses souffran-

---

dziwnie mię rozgrzewa; pożywienie jest niezdrowe, woda zepsuta; nie widzę sposobu przyprowadzenia do porządku mego żołądka, ani też możności przyzwyczajenia się do tego rodzaju życia. Od trzech tygodni, jak jestem na statku, umiem tylko cierpieć, i czuję się coraz gorzej: nie wiem, co z tego wyniknie. To, co mi czyni ten rodzaj stanu jeszcze nieznośniejszym, to jest uczucie niezdolności zajęcia się najmniejszą nawet rzeczą. Godziny ciągną się powoli, a ja nie znajduję nic, co mogłoby mnie usunąć choć na chwilę, od bolu, smutku i znudzenia.

3. czerwca.

Wiatry są przeciwne i wdmuchują nam wściekłość do serca. Prawdą jest, że z połową moich przyczyn byłoby czego rozpaczać nad tem opóźnieniem. Nie bądź zdziwioną, że znajdujesz ponurość w tem, co piszę. Upadam pod ilością cierpień, które mię przygniatają. Żadnej ulgi, żadnego promienia nadziei nie widzę w moim umyśle, który jest przybity i niezdolny podtrzymać ciało w jego

ces. Il y a des momens, où la rage s'empare de moi. surtout quand je pense, que je t'ai quitté, que je suporte toutes ces calamités pour manquer peut-être le but; principal de ce voyage, — qui est de voir le Nord de l'Amérique. Faut-il donc, qu'un guignon marqué préside à toutes mes entreprises et n'y aurait-il pas un instant de ma vie, où je ne doive maudire l'heure, qui m'a donné naissance. Mais je blaspheme. — Tu m'aimes, Julie! et si ton amour est à l'epreuve du tems — s'il est tel, que je le desire, tu repareras et les injustices du sort, et mes propres inconséquences. Tu peux bien croire, qu'abandonné, comme je suis à mes reflexions, j'ai repassé le court espace de ma vie: je me suis arrêté sur chaque instant dont j'aurais pû tirer parti; j'ai réfléchi sur ma conduite, sur mes vuës, sur mes projets. J'ai fait cet examen avec une parfaite impartialité. — eh bien! il en est resulté un nouvel enchainement de pensées; et si je ne puis me vanter de m'être tracé la meileure route, j'ai eu du moins le plaisir de voir, qu'en m'enfançant le plus loin dans l'avenir, rien ne s'est presenté à mon esprit, qui dût l'éffrayer. Mais tu es nécessaire indispensable à consolider, à embellir cet edifice. Il n'y a point d'etre, qui puisse tirer son bonheur de sois-même: c'est

---

cierpieniach. Są chwile, w których wściekłość opanowuje mię, szczególnie gdy myślę, że opuściłem Ciebie, że znoszę wszystkie te plagi, aby nie dosięgnąć — być może — głównego celu tej podróży, którym jest ujrzeć północ Ameryki. Potrzeba, aby wyraźny pech przewodniczył wszystkiem mym przedsięwzięciom, i czy nie będzie ani chwili w moim życiu, w której bym nie musiał przeklinać godziny, która mi dała życie? Ale ja bluźnię. Ty mię kochasz Julio! I jeżeli twoja miłość wyrówna próbie czasu, jeżeli jest taką, jakiej ja pragnę, ty naprawisz i niesprawiedliwość losu i moje własne niekonsekwencye. Ty możesz łatwo uwierzyć, że zostawiony własnym rozmyślaniom, przebiegłem myślą krótki przeciąg mego życia: zatrzymywałem się przy każdej chwili, z której mogłem był skorzystać; zastanawiałem się nad moim postępowaniem, nad moimi widokami, nad mymi zamiarami. Zrobiłem ten egzamin z doskonałą bezstronnością. I cóż! wynikło z niego nowe zagmatwanie myśli, i jeżeli nie mogę się pochwalić, że sobie wytknąłem najlepszą drogę, miałem przynajmniej przyjemność widzieć, że zagłębiając się jak najdalej w przyszłość, nic nie przedstawiło się memu umysłowi takiego, co mogłoby go przestraszyć Ale ty jesteś potrzebną, niezbędną do utrwalenia, do upiększenia

le plus bel apanage de cette abstraction — qu'on nomme Dieu, et le plus grand sujet de désespoir de l'homme raisonnable. Adieu, ma chere ame; que ne donnerais — je pas pour être avec Toi?

4. Juin, Mercredi.

Toujours contrarié par les vents! Agamemnon et sa suite n'en esuyerent pas de plus obstinés. Nous reculons sans cesse — si c'etait encore pour mieux sauter. Etre balloté continuellement, succomber à la fatigue vers la fin du jour, sans avoir avancé un pas et par dessus cela, vomiz horriblement; voilà le joli tableau que doit vous presenter mon voyage. Ah Julie! combien je suis heureux de croire, que vous aves perdu l'idée de l'entreprendre. Je serais mort de chagrin, en pensant que j'aurais été la cause de tous ces maux, aux quels votre santé n'aurait surement pas resisté. Je ne savais pas ce que je te conseillais. Pour un Royaume, je ne voudrais pas, que ma chere ame s'exposa au quart

---

tego gmachu. Nie ma wcale istoty, którąby mogła wyciągnąć swoje szczęście sama ze siebie: jest to najpiękniejszą właściwością tej abstrakcyi, którą nazywają Bogiem, i największym przedmiotem rozpaczy rozsądnego człowieka. Żegnaj, moja droga duszo; czego bym nie dał, aby być z Tobą?

4. czerwca, Środa.

Zawsze drażniony przez wiatry! Agamemnon i jego otoczenie nie cierpieli [do] bardziej upartych. Cofamy się bezustanku — gdyby to było przynajmniej na to, aby lepiej skakać. Być kołysanym bezustanku, upadać ze znużenia ku końcowi dnia, nie postąpiwszy ani kroku, i ponadto wymiotować straszliwie, oto jest piękny obraz, który Ci musi przedstawić moja podróż. Ach Julio! jak jestem szczęśliwy na myśl, że Ty straciłaś chęć podjęcia jej. Byłbym umarł ze zmartwienia myśląc, że sam byłym przyczyną tych wszystkich cierpień, którym Twoje zdrowie nie oparłoby się z pewnością. Nie wiedziałem, czego Ci doradzałem. Za królestwo nie chciałbym, aby moja przyjaciółka narażała się na czwartą

de ces fatigues. Si tu voyais, comme je suis fait, pâle, défait, épuisé; j'ai l'air d'une momie et nous ne sommespas au moitiers du chemin. — Je suis interrompu par un panore pigeon, qui est tombé à l'eau, et qui se noye. C'est précisément à l'instant que j'allais penser à la belle fable de La Fontaine. Le pauvre animal! — mais il est encore plus heureux que moi. Dans une minute il cessera de souffrir: — et moi, quand te reverrai — je?

5. Juin, Jendi.

Les dieux ont enfin pitie de nous, et sans exiger des sacrifices, ils ont apaisé les vents, qui nous repoussaient: il faudrait qu'ils fussent entierement genéreux, et nous accordassent des favorables. Pour nous preparer à ce bonheur,, ils nous le font acheter par un calme ennuyeux, mais nécessaire — aux yeux de nos marins.

Nous sommes au moins — en route, depuis ce matin. Nous esperons, que la premiere brise qui va s'eléver, sera favorable, et durera jusqu'aux vents alises, qui sont, à ce qu'on dit, invaria-

---

część tych trudów. Żebyś Ty wiedziała, co się ze mnie zrobiło; blady, mizerny, wycieńczony; mam minę mumii, a nie jesteśmy jeszcze ani w połowie drogi. Przerwał mi biedny gołąb, który wpadł do wody i tonie. I to właśnie w chwili, kiedy miałem myśleć o pięknej bajce La Fontaina. Biedne stworzenie! ale ono jest jeszcze szczęśliwsze odemnie. Za jedną minutę przestanie cierpieć: a ja kiedy Cię ujrzę na nowo?

5. czerwca, Czwartek.

Bogowie mają wreszcie litość nad nami, i nie wymagając ofiar uspokoili wiatry, które nas odtrącały: trzebaby, żeby byli całkiem wspaniałomyślni i użyczyli nam sprzyjających. Aby nas przygotować do tego szczęścia każą nam je okupić przez ciszę nudną, ale potrzebną w oczach naszych marynarzy.

Od dzisiejszego ranka jesteśmy przynajmniej w drodze. Spodziewamy się, że pierwszy wietrzyk, który się podniesie, będzie sprzyjającym, i potrwa aż do wiatrów stałych, które są, jak mó-

bles. Depuis deux ou trois heures, une quantité de plus beaux poissons flottent au tour du navire: ce sont des dorades, qui nuancés des couleurs les plus variées et brillantes, viennent à fleur d'eau, étaler leur beauté, et presenter leurs têtes et leurs gueules à nos harpons et à nos lignes. Notre maladresse surpasse encor leur imprudence. Ennuye' de n'en point prendre, j'ai quitté mon poste pour causer un peu avec toi. L'espérance de pouvoir te faire plaisir, en te donnant des marques continuelles de ma tendresse et de mon amour, est la seule juissance que le Ciel me permet de goûter, loin de tes yeux. Mais combien serais — je à plaindre, si avant que ce journal t'arrive, tu changeas de façon de penser ou plutôt — de sentir. Julie, cela serait — il possible? — Rejettons cette idée, quoiqu'elle me tourmente sans cesse, et que des songes ennemis en troublent mon sommeil. — Mais cela serait — il possible? A qui se fierait — on desormais? — Non, je ne crois pas être asser malheureux pour cela: — Moi, qui m'occupe uniquement du bonheur de passer ma vie avec Toi, et de placer exclusivement ma felicité dans ton coeur... Julie! n'est-ce pas que tu m'apartiendras toute ta vie? et à qui pourrais-tu être? Y-a-t-il quelqu'un un qui sçut t'aimer avec autant de ten-

---

wią, niezmiennie. Od dwóch czy trzech godzin mnóstwo najpiękniejszych ryb pływa wokół statku: są to dorady, które cieniowane najpiękniejszymi i najświetniejszymi kolorami wypływają na powierzchnię wody, aby pokazać swą piękność i prezentować swoje głowy i swoje pyski naszym harpunom i naszym wędkom. Nasza niezgrabność przechodzi jednak ich nieostrożność. Znudzony tem, że nie mogłem złowić, opuściłem moje stanowisko, aby pomówić trochę z Tobą. Nadzieja, że mogę zrobić Ci przyjemność, dając ci ciągłe oznaki mojej czułości i mojej miłości, jest jedyną radością, której nieba pozwoliły mi kosztować zdala od Twoich oczu. Ale jakże byłbym godnym pożałowania, gdybyś — nim ten dziennik dojdzie rąk twoich — zmieniła sposób myślenia albo raczej uczucia. Julio, czy to byłoby możliwem? Odrzućmy tę myśl chociaż ona mię męczy bezustanku a sny nieprzychylne mącą mój sen. Ale czy to byłoby możliwem? Na kim by odtąd polegano? Nie, ja nie myślę, abym był dość nieszczęśliwym na to. Ja, który zajmuję się wyłącznie szczęściem spędzenia życia z Tobą i umieszczenia mojej radości wyłącznie w twoim sercu... Julio! nieprawdaż, że będziesz do mnie należeć całe życie? i czyjąż mogłabyś być? Czy jest na świecie ktoś, ktoby umiał kochać Cię z taką czułością?

dresse? — Oh! que ne puis-je entendre dans cet instant, de la bouche, l'aveu de ta passion! Pourquoi dois-je craindre ce que ne peut point arriver? et augmenter la somm de mes souffrances réelles, par des chagrins imaginaires?

6. Juin, Vendredi. 31° 20' Lat. N.

Tu ne seras pas toujours incommodé par mes plaintes et mes Ieremiades. Les vents sont bons; je me porte mieux, et il ne me reste que le grand déplaisir d'être loin de toi, et de voir, qu'il se passera encore bien du tems, avant que nous soyons ensemble. Mais pour me tromper moi-même sur le chagrin, que cette absence me doit causer, je t'écris des volumes. A force de m'occuper de toi, j'oublie que j'en suis loin: mon attention fixée plus positivement sur la personne, m'ôte les moyens de m'apercevoir — qu'lle me manque. C'est un secret innocent, que j'ai imaginé, pour me rendre ton éloignement plus supportable. Je cherche des remedes dans le mal même. Mais Toi, qui seras condamnée à lire ce tas d'inutilités, me pardonneras-tu d'abuser ainsi de ta patience-

---

Och! dlaczego nie mogę usłyszeć w tej chwili z twoich ust wyznania twojej miłości! Dlaczego muszę się bać tego, co się stać wcale nie może i powiększać sumę moich rzeczywistych cierpień przez urojenie zmartwienia?

6. czerwca, Piątek. 31° 20' sz. półn.

Nie będziesz zawsze nudzoną przez moje skargi i moje narzekania. Wiatry są dobre; ja mam się lepiej, i pozostaje mi tylko wielka nieprzyjemność być zdala od ciebie i widzieć, że przejdzie jeszcze wiele czasu, nim będziemy razem. Ale żeby oszukać samego siebie w tem zmartwieniu, które ta rozłąka musi mi czynić, piszę do Ciebie całe tomy. Zajmując się tobą, zapominam, że jestem od ciebie oddalony: uwaga moja sprowadzona bardziej stanowczo na osobę, odejmuje mi środki spostrzeżenia się, że mi jej brak. To jest sekret niewinny, który ja wymyśliłem, aby uczynić sobie twoje oddalenie możliwszem do zniesienia. Szukam środków w samem złem. Ale Ty, która będziesz skazaną czytać stos tych nieużyteczności, czy mi przebaczysz, że nadużywam Twej cierpli-

car si mon coeur peut·meriter quelque eloge, tu devras de la pitié à mon esprit. Il est sûr, qu'il n'apoint d'occasion de s'exercer et de s'entretenir par la conversation de mes compagnons de voyage. S'il est vrai, que c'est un feu, qui a besoin d'alimens, il devait s'éteindre depuis long tems. Tu connais ce que c'est que l'homme, qui est parti avec moi; il parait que ses facultés diminuent à mesure qu'il s'eloigne de Paris, comme l'air se raréfie, quand il n'est plus nourri par les vapeurs de la terre. Combien de vos Parisiens lui ressemblent à cet égard! S'ils étaient transportés tout d'un coup hors de leur ville, où prendraient — ils leurs idées? Ils dinent de ce qu'ils ont ramassé le soir, et soupent de leur diner; et l'on pourrait taxer chacun à une certaine quantité de mots: „Ces bavards n'étant point ceux qui en disent le plus, mais qui les respectent le plus souvent (comme on taxe une terre à tant de livres dans vos pays d'election; excepte, que l'estimation serait plus juste:)“ Mon homme pourtant est un aigle ici; — imaginezvous ce que doivent être les hiboux. Tous ces hiboux sont autant de gascons: aussi n'ai-je pas fait peu de progrés dans leurs accens. Tout le tems que je puis derober à leur conversation intéressante, je le donne à l'etude de l'anglais, et à la

---

wości — bo jeżeli moje serce może zasłużyć na jaką pochwałę, ty będziesz winną litości dla mego umysłu. To jest pewnem, że nie ma wcale sposobności ćwiczenia się i rozmawiania z towarzyszami podróży. Jeżeli to prawda, że jest to ogień, który potrzebuje podniecenia, to musiał on zgasnąć od dawna. Ty wiesz, co to za człowiek pojechał ze mną: zdaje się, że jego zdolności zmniejszają się w miarę, jak on się oddala od Paryża, tak jak powietrze rzednie, gdy nie jest już podsycane parami ziemi. Ilu z waszych Paryżan podobnych jest do niego w tym względzie! Gdyby byli przeniesieni nagle za obręb swego miasta gdzieby oni brali swoje pomysły? Oni jedzą w południe to, co spożyli wieczór, a wieczór to, co w południe; i można by było ocenić każdego według pewnej ilości słów: „Te gaduły nie są wcale tymi, którzy o tem najwięcej mówią, ale tymi, którzy je najczęściej szanują; (jak się ocenia ziemia na tyle funtów w waszych wybieralnych krajach; z wyjątkiem, że ocena byłaby sprawiedliwszą“). Mój człowiek jednakże jest tu orłem; wyobraźcie sobie, czem muszą być puszczyki. Wszystkie te puszczyki są tyloma gaskończykami: to też zrobiłem niemałe postępy w ich akcencie. Cały czas, który mogę odjąć ich ciekawej rozmowie, poświęcam na naukę angielskiego i na

lecture des lettres de M-de de Sevigné, le seul livreque j'ai avec moi. J'ai aussi relu „les Saisons de St. Lambert“ c'est, je vous assure un trés-beau peëme, et qui, n'en déplaise a vous et aux vôtres, vaut mieux, que les Jardins de notre Abbé. A propos des Lettres de Mad-e de Sevigné je viens d'y lire une question, que je vais te proposer. Je me souviens de l'habileté, avec laquelle tu en resolus une de ce genre, qui avait été mise dans le journal de Paris. Celleci serait digne de la plus auguste Cour d'amour. Je te la raporte dans les propres termes de La Rochefaucaule „Aimés-vous mieux avoir, fait une infidelité à votre amant, que vous aimés pourtant toujours; ou qu'il vous en ait faite une, et qu'il vous aime aussi toujours“. Il ne m'est point permis de parler, apres l'Epictete françois — et je te quitte pour aujourd'hui.

8. Juin, 29° 20' Jour de la Pentecôte.

Il y a de cela à peu prés dix-huit siecles, que l'esprit saint descendit, comme tu sais fort bien, sur de pauvres ignorants, et en fit des predicateurs, des ecclesiastes, des apôtres enfin. Puisse un rayon échappé de cette celeste essence, illuminer ce que je vais t'écrire, et rendre ma lettre moins ennuyeuse! Mais je vois

---

czytanie listów Pani de Sevigné, jedynej książki, którą mam ze sobą. Odczytałem także „Pory roku St. Lamberta“: jest to — upewniam was — bardzo piękny poemat, a który, za przeproszeniem was i waszych, wart więcej niż ogrody naszego opata. A propos listów Pani de Sévigné, tylko co w nich przeczytałem o kwestyi, którą mam Ci przedstawić. Przypominam sobie, z jaką zręcznością rozwiązałaś jedną w tym guście, która była umieszczoną w dzienniku paryskim. Ta ostatnia byłaby godną najdostojniejszego dworu miłości. Powtarzam Ci ją we właściwych wyrażeniach Roche-Foucaule. „Czy wolałaś popełnić niewierność swemu kochankowi, którego jednak zawsze kochasz, czy żeby on popełnił niewierność i także Cię zawsze kochał“. Nie wolno wcale mówić po francuskim Epiktecie, więc opuszczam Cię na dziś.

8. czerwca. 29° 20“. Dzień Zielonych Świąt.

Minęło prawie ośmnaście wieków od chwili, gdy duch święty zstąpił, jak Ty wiesz bardzo dobrze, na biednych nieoświeconych i zrobił z nich przepowiadaczy, duchownych, apostołów w końcu. Oby promień wymknąwszy się z tej niebiańskiej woni, oświecił to, co Ci mam napisać i uczynił mój list mniej nudnym! Ale

avec chagrin, que le tems des miracles est passé, et qu'il faudra que tu te ressentes de la secheresse du tems, et de celle de mes idées. J'ai envie pour rendre mon journal plus intéressant, de traduire quelque morceaux d'un livre charmant, que je lis actuellement, et qui s'apelle: „Letters from an American Farmer“. C'est un tableau delicieux de la vie heureuse des habitants de l'Amerique Angloise, et surtout des cultivateurs Pensylvaniens, tracé avec une simplicite, digne de meilleurs tems, et que je n'ai encore trouvé nulle part. Je ne me rapelle pas d'avoir jamais été si touché, si persuadé de la vérité d'un recit, et jamais peinture ne m'a autant séduit. Ce n'est pas des couleurs recherchées ce n'est point le ton fastueux de nos declamateurs il ne se charge point de penser pour vous, il vous epargne les reflexions. Point de leçons de morale rien de ce qui sent l'auteur; c'est un vrai fermier mais aimable, mais honnête, surtout grand ami de la proprieté et de l'indépendance. Mais ce n'est point au milieu de Paris, et avec une education, comme la tienne, que tu en gouteras les charmes. Je me reserve de te le faire admirer un jour dans cette retraite où nous ne vivrons que pour votre bonheur, et où tu pourras trouver des plaisirs, dont l'idée même ne t'est

---

widzę ze smutkiem, że czas cudów przeszedł i że potrzeba będzie, abyś uczuła suchość czasu i suchość moich myśli. Mam ochotę, aby uczynić mój dziennik bardziej zajmującym, skreślić kilka ustępów z zachwycającej książki, którą obecnie czytam a która nazywa się „Letters from an American Farmer“. Jest to zachwycający obraz szczęśliwego życia mieszkańców Ameryki angielskiej, a szczególnie rolników Pensylwanii, nakreślony z prostotą godną lepszych czasów i jakiej nigdzie jeszcze nie znalazłem. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek był tak wzruszony, tak przekonany o prawdzie opowiadania; i nigdy obraz nie zachwycił mię tak bardzo. To nie były wyszukane kolory, nie jest to wcale przesadny ton naszych deklamatorów; on nie podejmuje się myśleć za was, oszczędza wam rozmyślań. Nie ma wcale nauki moralnej, nic coby pachło autorem; jest to farmer prawdziwy, ale uprzejmy, uczciwy, szczególnie wielki przyjaciel własności i niezależności. Nie jest to wcale z atmosfery Paryża i z wychowaniem podobnem Twemu, abyś mogła odczuć ich urok. Zastrzegam sobie dać Ci je ocenić pewnego dnia w ustroniu, gdzie będziemy żyć tylko dla Twego szczęścia i gdzie Ty będziesz mogła znaleść przyjemności, o których pojęcie nawet nie jest Ci znane. Oby czas,

point encore connue. Que le tems, qui doit nous tenir éloignés. s'écoule avec rapidité,. et que je puisse me retrouver près de toi, et t'initier dans les mystères d'une felicité, à qui, pour être parfaite. il ne manquerait que d'être eternelle.

10. Juin. 27° 36".

La journée d'hier a été une journée d'événements. A six heures du matin il ventait bon frais, et nous etions dans la joye de marcher si vite, lorsque tout d'un coup le vent sauta du Nord au Sud, et coëffa nos mats-c'est un accident très dangereux et qui nous aurait exposé davantage. si le grain avait été plus violent. Heuresement on s'en apercut de bonne heure et on eut le tems de carguer les voiles. La premiere frayuer passée nous nous des ésperions de ce nouveau retard. lorsque le vent cula peu à peu. et retourna à son poste: — A onze heures, nous aperçumes un vaisseau, qui portait sur nous à pleines voiles — Une heure après le Capitaine fit mettre en pane pour l'attendre. Tu ne saurais t'imaginer la fermetation, que l'espoir de voir, deparler à des etrangers occasiona d'abord: le moindre petit appas, jetté à la curiosité, lorsqu'elle est resserrée dans des bornes aussi etroites,

---

który ma nas trzymać w oddaleniu upłynął z szybkością i obym mógł znaleść się przy Tobie, i wtajemniczyć się w tajniki szczęśliwości, której, aby była doskonałą, brak, że nie jest wieczną.

10. czerwca. 27° 36".

Dzień wczorajszy był dniem wypadków. O szóstej godzinie zrana powiewało świeżo i byliśmy rozradowani, płynąc tak szybko, gdy naraz wiatr przerzucił się z północy na południe i poplątał nasze maszty — jest to wypadek bardzo niebezpieczny i byłby nas więcej naraził. gdyby nawałnica była gwałtowniejszą. Na szczęście spostrzeżono się za wczasu i zdołano zwinąć żagle. Po pierwszym strachu zaczęliśmy rozpaczać nad tem opóźnieniem, gdy wiatr oziębił się zwolna i powrócił na stanowisko. O jednastej godzinie spostrzegliśmy okręt, który pędził na nas wszystkiemi żaglami. W godzinę potem kapitan kazał przygotować okręt, aby go oczekiwać. Nie umiałabyś sobie wyobrazić zamieszania, jakie najpierw sprowadziła nadzieja zobaczenia obcych i mówienia z nimi: najmniejsza przynęta rzucona ciekawości, gdy ona jest zcieśniona w granicach tak wąskich, każe jej występować i działać żywiej. „Skąd on przybywa? W jaki sposób znajduje się on tam, z jakiej

la fait ressortir et agir plus vivement. „D'où vient-il? Comment se trouve-t-il là? de quelle nation? qui est ce qui le commande? — et puis les conjectures. C'est un Anglais — Non c'est un Espagnol-un Ameriquain". Enfin vers les trois heures-le vaisseau parut un bateau à un mat, doublé en cuivre; et un grand quart d'heure après. nous aprimes. qu'il était français, qu'il venait de Bordeaux, qu'il s'appelait l'Orchestre, qu'il allait à la nouvelle Angleterre, et que des vents contraires l'avaient chassé trop au Sud. Je m'étais flatté un instant, qu'il allait en France; et que j'aurais l'occasion de t'écrire: mais je n'etais pas long-tems dans cette douce illusion; et je regrettais le tems que nous avions perdu à l'attendre. Depuis que nous l'arovs quittié, nous allons très-vite, et ce matin nous fimes trois lieuës à l'heure. Ne voila-t-il pas des choses bien intéressantes, que je te maude? Ma lettre serait surement la plus inutile cargaison du bâtiment qui la porterait en France, si elle ne te dirait mille fois combien tu m'es chere-et combien l'idée dêtre aimé de toi, fait le bonheur de'mes jours. S'ily a quelque vaisseau dans le monde chargé de la même commission de ta part pour moi-il m'est plus cher sans doute que tous Galions, qui portent les richesses du Perou et du Mexique.

---

narodowości? Kto nim dowodzi? I za tem wnioski. To jest Anglik. nie, to jest Hiszpan Amerykanin". Wreszcie około trzeciej godziny ukazał się okręt. żaglowiec o jednym maszcie, obity miedzią; i w kwadrans potem dowiedzieliśmy się, że był on Francuzem, że przybywał z Bordeaux, a nazywał się Orkiestrą, że płynął do nowej Anglii i że wiatry przeciwne spędziły go nadto na południe. Łudziłem się przez chwilę, że on płynie do Francyi i że będę miał sposobność napisać do Ciebie; ale nie długo zostawałem w tej słodkiej złudzie i żałowałem czasu, jaki straciliśmy na jego oczekiwaniu. Od chwili, gdyśmy go opuścili, płyniemy bardzo szybko i dziś rano robiliśmy trzy mile w godzinę. Czy nie są to rzeczy bardzo zajmujące, które ci przesyłam? List mój byłby z pewnością najbardziej nieużytecznym ładunkiem statku, któryby go wiózł do Francyi, gdyby on nie miał Ci powiedzieć tysiąc razy, jak bardzo jesteś mi drogą — a więc myśl być kochanym przez Ciebie stanowi szczęście moich dni. Jeżeli jest okręt na świecie obarczony taką samą posyłką od Ciebie do mnie — jest mi on droższym bez wątpienia, niż wszystkie okręty, które wiozą bogactwa Peru i Meksyku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kilka uwag o Albercie Dürerze,

na podstawie zbiorów monachijskich.

Skrócenia: B = Bartsch, Le peintre Graveur, 1803—1821.
L = Lippmann, Zeichnungen von Albrecht Dürer, Berlin, 1883.

Daremnie święty Franciszek upatrywał w przyrodzie dzieło Boga. Szmer strumyka był mu bratem, kwitnące drzewo siostrzycą. Ogół nie poszedł za nim. W swej głębokiej czci dla piękna pozostał odosobnionym. hymny do słońca i do stworzenia odbijały się niewysłuchane od twardego ducha wszechwładnej Ascezy i powracały w pierś rozspiewaną poety z Assyżu.

Wzloty Petrarki w podniebny świat otaczającego go piękna napotykają na reakcyę w dziele: O znikomościach świata. Dusza Dantego znajduje ukojenie nie w przyrodzie, lecz w wewnętrznem uczuciu. Io sono in pace.

„Kwitnąca lipa, to piekło uosobione, a słowik w listowiu jej „spiewający, to szatan kusiciel. Adjuro te per eum, qui venturus „est iudicare vivos et mortuos — zgiń przepadnij kusicielu. Biczujmy się bracia.“

Ten ustęp z opowiastki cytowanej przez H. Heine'go w jego „Essays zur Geistesgeschichte Deutschlands“ doskonale charakteryzuje epokę poprzedzającą odrodzenie.

Nagle następuje zwrot; gwałtownej fali humanizmu, z Włoch płynącej, nie oparły się Alpy; przeniknęła na północ, w Ojczyznę Dürera.

Wzmacnia się sztuka i nauka, zakwitają duchowe popędy, tobie o Barbarzyństwo pozostaje stryczek[1]) — woła w „Triumphus doctoris Reuchlini" poeta laureatus i mówca uniwersytecki Ulrich von Hütten (* 1488 r.) wraz z współczesnymi mu Reuchlinem, znakomitym znawcą języka hebrajskiego, z Erazmem z Rotterdamu i wielkim reformatorem Lutrem, walczy za prawa serca, duszy i prawdy; otrząsano się z pod pręgierza kontemplacyi, wglądano w rzeczy ludzkie, imponowały ludzkie czyny, powracało prawo człowieka.

Walczono różną bronią, zarówno mieczem, jak piórem, często razem, czasem przeciw sobie, lecz idea była jedna.

Opozycya przeciw wszystkiemu, co było.

Nie dogmatów i kategoryj, ale faktów chciano słuchać, nie w pomoc boską wierzyć, lecz w siłę ludzkiego ducha.

Odkrycia Kopernika, (* 1473 r.), stwierdzenie kształtu i potrójnego ruchu ziemi, wywołuje wprawdzie przez długie lata jeszcze obłudny uśmiech na usta jezuickiego wychowawcy, natomiast pobudza ducha do czynów doniosłych i przełomowych w dziejach ludzkości. Krzysztof Kolumb postanawia okrążyć ziemię (1492); olbrzymiość zdobyczy na polu naukowem wywołuje coraz to nowe reakcye: Uniwersytet w Tübindze otrzymuje pozwolenie sekcyi ciał umarłych w r. 1482[2]). Wkrótce Andri Vesal, lekarz francuski XVI wieku stwarza metody anatomii, do naszych czasów podstawowe, a żarliwość naukowa dochodzi czasami do przesady, jak tego świadkiem rozkaz magistratu miasta Pragi do kata miejscowego (XVI w.). „Abi! et trucida unam ex inclusis reis, ejusque corpus medum in teatrum anatomicum deporta". (Idź! i zamorduj jedną z oskarżonych, a ciało jej nagie zanieś do teatru anatomicznego).

---

[1]) Es blühen die Studien, die Geister regen sich,
Du nim den Strick, Barbarei...
U. v. Hütten.

[1]) W średnich wiekach sekcya trupów ludzkich była uważana jako zbeszczeszczenie; Pietro d'Albano w XIII. w. oskarżony o sekcyę, został skazany na śmierć na stosie. Wprawdzie umarł podczas procesu, lecz ciało jego odgrzebano i wyrok nad niem wykonano.

Sztuka wbrew tradycyi powraca do studyów nagiego ciała: czysto kościelne tematy, zgodnie z duchem czasu, przybierają pod ręką artysty światową sukienkę. Powstają dzieła tak mało kościelne, jak cudne kobiety Rafaela, groby Medyceuszów, Melancholja i św. Hieronim Dürera.

Czarowne opowieści o odkryciach na niebie i ziemi podawano sobie z ust do ust, spisywano na pargaminie, chęć podróżowania wyraża się w niezliczonych, energicznych wędrówkach uczonych, poetów i artystów. Pomału, odpowiadając potrzebie ogółu, powstają nowe szkoły specyalne, drukują się nowe książki: w roku 1507 rozchodziły się po całych Niemczech. „Anatro viagii di Amerigo Vespuci“, w 1508 wychodzi w druku pierwszy niemiecki opis podróży Krzysztofa Kolumba, w tymże roku opisuje Baltazar Sprenger z Augsburga wyprawę na wchód: odkrycie Indyj.

Norymberga staje się siedliskiem ruchu naukowego, posiadając instytut astrologiczno-matematyczny, zaopatrzony we wszystkie najnowsze środki naukowe. Tam szukają wiedzy znakomici matematycy: Bernard Walther, Jan Schoner, Steinvogel i przyjaciel Dürera, Wilibald Pirkheimer, a on sam, mistrz nad mistrze, wielki teoretyk sztuki, nie przypadkowo szuka rozwiązania swych problematów malarskich w ścisłej wiedzy matematycznej. Pod wpływem otoczenia tworzy, z dziedziny teoryi, dzieła wówczas niemało cenione: „Unterweisung der Messung“, „Von menschlicher Proportion“, „Der ästhetische Exkurs“ i dotąd w Londynie w rękopisie leżące: „Von der Farbe“, „Von der Perspektive“ i inne.

Humanizm rozpanoszył się w umysłach wybitnych jednostek narodu, ulegającego chętnie odrodzonym prawom: prawu człowieka, prawu rozwoju, wynalazczości w wiedzy, twórczości w sztuce. Artyści norymberscy narówni z innymi poczynają wyzwalać sztukę z pętów rzemieślniczych. Veit Stoss (Wit Stwosz), Adam Krafft, Piotr Vischer roznoszą sławę swego dzieła hen, na wschód do Krakowa i Magdeburga.

Hans Pleydenwurf i Michał Wolgemuth dają podwaliny temu kierunkowi w sztuce malarskiej, który, jako „szkoła norymberska“ miał najwyższy swój wyraz w twórczości Dürera.

Niestety warunki nie odpowiadały duchowemu napięciu. Artyści dawali chętnie folgę natchnieniu, lecz obstalunków nie było. Cesarz Maksymiljan okazuje się nieudolnym mecenasem; nie posiada pieniędzy, nadto zużywa siłę twórczą mistrzów, pod jego opieką pracujących, na dzieła rzemieślnicze, niewiele z wolnym duchem

twórczym wspólnego mające; jedynem dziełem sztuki, którego zaczątki pod jego wpływem powstały, jest nagrobek w Insbrucku. Z całego zastępu książąt panujących, hrabiów i baronów feodalnych, jeden tylko kardynał książe Albrecht, aczkolwiek skromnie, zajmuje się sztuką; pozostali nie posiadają odpowiedniej kultury, a zasoby ich nie wystarczają na skromne nieraz utrzymanie głodnego dworu. Sporadycznie dają obstalunki możni mieszczanie, znane rodziny Hellerów, Pirkheimerów, Imhoffów, Holzschuherów. Czasem obraz większych rozmiarów obstalowują u mistrza, jako votum do kościoła, w domu zaś, ku ozdobie ścian starczyły wówczas tkaniny, półki w drzewie, naczynia cynowe lub miedziane, powoli rozwija się zamiłowanie portretu.

Względnie najwięcej odgłosu znajdowała sztuka w prostaczych duszach małomieszczaństwa norymberskiege, które szczególnie ukochało, odpowiednie zresztą środkom finansowym, sztychy i drzeworyty.

Energiczny, wielostronny umysł Dürera nie pozostaje głuchym na wpływy zewnętrzne. Twórczy duch szamoce się sam z sobą, wrażliwy na łoskot oddalonej burzy zarówno, jak na palące promienie słoneczne w cichy dzień pogodny. Zachwycony Wenecyą i jej sztuką, przeraża się na myśl powrotu na północ; „wie wird mich nach der Sonne frieren; hier binn ich ein Herr, daheim ein Schmarotzer", pisze w jednym z listów. A jednak wziął z Włoch tylko to, co mu niezbędnie potrzebnem było, pozostał do końca życia indywidualnym, niemieckim artystą, rozmiłowanym w tysiącznych szczegółach kompozycyi, gotyckim w pojmowaniu zadania sztuki malarskiej.

Niepoślednim, a ujemnym czynnikiem w rozwoju jego twórczości był brak środków, ciągła walka o byt. Wymarzoną podróż do Włoch, w końcu 1505 roku, mógł przedsięwziąć tylko dzięki pożyczce, udzielonej mu przez Pirkheimera. Jak bardzo dług ten przytłaczał go moralnie nawet wówczas, w chwilach najwyższego rozśpiewania się duszy, świadczy ustęp z listu jego, pisanego z Wenecyi do Pirkheimera w święto Trzech Króli (d. 6. stycznia 1506 roku): „Und ich bitt Euch, habt Mitleiden mit meiner Schuld, ich gedenke öfter daran, denn Ihr".

Dzięki przyjaciołom, kupcom niemieckim, zamieszkałym w Wenecyi, otrzymywał obstalunki na obrazy kościelne i portrety, nadto znajdywał popyt na sztychy i drobne obrazki, znane zresztą w północnych Włoszech jeszcze przed jego przybyciem do We-

necyi. Vasari wspomina o akwarelli ofiarowanej przez Dürera Rafaelowi: „la quale parve maravigliosa a Rafaello; perche eli mandò molte carte disegnate di man'sua, le quali furono carissime ad Alberto (Durero)“ (G. Vasari, Vite de' pittori).

Po skończeniu wielkiego obrazu dla niemieckiego kościoła świętego Bartłomieja w Wenecyi, wspomina w odręcznym liście do Pirkheimera, pisanym w dzień święta Matki Boskiej dnia 8. września 1506 r. „Spricht Iderman sie haben schoner (schönere) Farben nie gesehen. Ich habe gross Lob dordurch überkomen, aber wenig Nutz“. Chwalono go zatem i ceniono zdolności, lecz do kieszeni mało wpływało.

W liście do tegoż Pirkheimera z dnia 13. października 1506 roku wspomina o „nieszczęściu“, jakie go spotkało. „Es ist mir innerhalb 3 Wochen ein Schuldner mit VIII Dukaten entlofen“, widocznie ta, nawet na owe czasy, suma była w jego położeniu poważną stratą.

W walce z losem, darzony czasami bladym uśmiechem Fortuny, dojrzewał talent Dürera podczas dwuletniego pobytu we Włoszech. Epoka ta miała być przełomową; rozwinęła nagle potężny już przedtem talent wielostronny malarski, rysunkowy i rytowniczy. Który z tych trzech działów wyżej stawiać należy w twórczości mistrza, trudno orzec; to pewna, że obrazów olejnych na najwyższym szczeblu stawiać nie należy.

Celem ułatwienia oceny istotnej wartości dzieł Dürera, oraz celem ujęcia w pewne ramy wrażenia, jakie one wywierają dzisiaj, nie od rzeczy będzie wspomnieć o sposobach technicznych, którymi rozporządzał ich twórca.

Dzisiejszego sposobu wyżerania rysunku na miedzi za pomocą kwasów nie znano wówczas. Mistrz uzbrojony w rylec, żłobił wprost na płycie, niepowleczonej woskowatą masą, jak to ma miejsce dzisiaj. Miedzioryty, podziwiane przez nas na licznych odbitkach, są zatem „własnorecznem“ dziełem Dürera tak samo, jak jego rysunki i nieliczne akwarelle, nieprzemalowane przez późniejszych adeptów sztuki, jak wszystkie prawie obrazy. Inną jest technika drzeworytnicza; przygotowany odpowiednio klocek drzewny, po wykonaniu na nim rysunku przez artystę, przechodzi w ręce rzemieślnika-snycerza, który, jak łatwo się domyśleć, niejednokrotnie uszkadza rysunek. W ten sposób powstały autentyczne drzeworyty Dürera.

Chcąc rozpatrywać rodzaj twórczości, najrozmaitsze wpływy zewnętrzne i wewnętrzne, wreszcie zdobycze artystyczne i rozwój duchowy jednostki twórczej, należy mieć do rozporządzenia możliwie największą ilość autentycznych dzieł, uporządkowanych chronologicznie. Dla nas miedzioryty stanowią pierwszorzędny materyał.

„Syn marnotrawny“ B. 28, z roku 1495, powstaje pod wpływem zanikającego średniowiecza: to jeszcze czasy wewnętrznej kontemplacyi i pokuty za grzechy, poniżenia godności osobistej, bez śladu podziwu dla przyrody; człowiek, proch marny, miejsce jego między trzodą chlewną, świat jego zamykają proste szopy ubogiej, wiejskiej zagrody. W roku 1505 powstaje sztych „Święty Eustachy“ B. 57, to czas walki i niepewności; nowe prądy ścierają się z starymi: Światowy rycerz, otoczony psiarnią, spostrzega świętego jelenia, zsiada z konia, przyklęka, bez poniżenia; po skończonej modlitwie znów dosiądzie rumaka i pomknie rozkoszną doliną ku czarownemu zamkowi na skalistem wzgórzu. Wreszcie dumny „Rycerz mimo śmierć i piekło“ (B. 98 1513 r.), ufający w potęgę swego miecza, wyrusza w świat, zbrojny od stóp do głów drwi z śmierci, chociaż jadąc obok, na kudłatej szkapie, ukazuje mu czas, cienkim sznureczkiem sypiący się w klepsydrze; drwi z potwora-dyabła, który tuż za nim postępuje, uzbroił się przeciw niemu w amulet niezawodny, otaczając hełm wiankiem z rożdżeńca.[1]) Dürer uległ wpływowi humanizmu, daje mu potężny wyraz w tym sztychu.

Przez całą twórczość Dürera wije się, jak nić barwna w tkaninie, chęć pokonania trudności, jaką mu nasuwała różnorodność kształtów i rozmiarów ludzkiego ciała. Nie zadawalniał się wiernem uchwyceniem d a n e g o m o d e l a, pomnażał trudności rozwiązania problematu, dążąc do stworzenia i d e a l n e g o t y p u c z ł o w i e k a. Należy przeto odróżniać liczne rysunkowe studya nagiego ciała oraz te sztychy, które za studya służyły. („Cztery czarownice“ B. 75, nagą postać kobiecą w „Śnie“ B. 76, wnętrze „Łaźni męskiej“ i w. i.), od tych dzieł różnorodnej techniki, w których wyraźnie znać dążenie do odtworzenia idealnego człowieka, jak miedź. zwany „Małą Nemesis“, B. 78, drzew. „Wniebowzięcie św. Magdaleny“ B. 121, miedź. „Adam i Ewa“, B. 1,

[1]) Lycopodium clavatum.

z roku 1504, miedź. „Wielka Nemesis“, B. 77, olejne obrazy „Adam“ i „Ewa“ w muzeum w Prado, i inne, kończąc na półnagich dziewicach z „Pochodu tryumfalnego cesarza Maksymiljana“ z roku 1522.

Ulegając podwójnym wpływom dochodzi do podwójnego, prawie wprost na przeciwnych sobie biegunach stojącego pojmowania aktu kobiecego. Ewa z Prado to ideał smukłej dziewczyny o miękich kształtach, zarysowanych lekko spływającemi liniami, to wpływ włoskiego malarstwa. Przeciwnym prądom ulegając, stworzył już przedtem typ tęgiej, muskularnej kobiety germańskiej w „Nemesis“ (1504) B. 77. Typ ten pozostaje ulubionym przez niego indywidualnym, dürerowskim typem kobiety, powtarzanym często zarówno przed, jak po włoskiej podróży; do końca jego twórczości odnajdujemy go w „Adamie i Ewie“ z roku 1510, B. 17 i B. 18, (Kleine Holzschnittpassion), w obu sztychach na żelaznej płycie z roku 1516, B. 70 i B. 72, wreszcie w „Rysowniku“ B. 149, z ostatnich lat życia.

Życie i twórczość Dürera przywykliśmy dzielić na kilka epok; podział ten, znany od pierwszych niemal zaczątków badań nad sztuką Dürera, wypadł szczęśliwie. Wpływy zewnętrzne: światowe, rodzinne, religijne, finansowe, zarówno jak niezależny stan jego ducha, bezpośrednie odczuwanie odbijały się na jego twórczości tak rozmaicie, że wytworzyły pewne jasne okresy o wybitnych cechach, znamionujących każdą z osobna. Pierwsze trzy okresy sięgają po rok 1513. To lata młodzieńcze najpierw, o zdecydowanym średniowiecznym (gotyckim) charakterze twórczości; potem czasy walki i niepewności, wywołane wpływami włoskich kopij i oddalonem echem renesansu imperatywnie sprowadzają podróż do Włoch. Następuje okres ulegania temu, co widział we Włoszech, do stopnia równającego się chęci naśladownictwa. Ten trwa do roku 1512, w którym cesarz Maksymiljan przerywa intenzywną twórczość Dürera obstalunkami niewiele z wyzwoloną sztuką wspólnego mającymi. Nagle, jako reakcya, następuje epoka, w której twórcze napięcie mistrza może się równać tylko chwilom tworzenia idealnego Autoportretu (Monachium). Niedościgniony w sztychu sięga głęboko w problematy duchowe, tworząc „Rycerza mimo śmierć i piekło“ w roku 1513 B. 98, zaraz w następnym roku „Świętego Hieronima w Komnacie“ B. 60, oraz „Melancholię“ B. 74. Dwa ostatnie okresy obejmują lata przed i po podróży do Niderlandów, około roku 1520.

Zbiory monachijskiej Starej Pinakoteki posiadają materyał do studyów prawie wszystkich okresów twórczości Mistrza: Obrazy olejne, miedzioryty i drzeworyty w odbitkach rozmaitej wartości, wreszcie kilka własnoręcznych rysunków. Część „Modlitewnika Cesarza Maksymiljana“ znajduje się w zbiorach Biblioteki państwowej.

Portrety.

W jednym z bocznych gabinetów (N. V.) Starej Pinakoteki wiszą cztery portrety pędzla Dürera. Pochodzą one z jednego chociaż okresu, wartość ich różna, nadto przedstawiają wszystkie popiersia męskie; brak podobizny kobiecej ujemnie wpływa na dokładność krytycznej oceny twórczości mistrza z pierwszego, barwnego okresu. Pomimo, że portret własny wybiega daleko po zawartość pozostałych trzech, te stanowią ciekawy dodatni materyał do studyów, jako mniej przemalowane i cieńszą, lub wcale warstwą pokostu niepokryte. Nadto wszystkie trzy są dobrze zachowane, co pozwala w zaufaniu śledzić rękę mistrza zarówno w rysunku, jak w barwnem wykonaniu.

Obrazy te mało odpowiadają gustowi, jaki długowiecznie w ściśle plastycznym kierunku rozwijające się malarstwo europejskie w nas wyrobiło; jednakże dały one Dürerowi sławę największego współczesnego portrecisty niemieckiego, a podobizna ojca jego, malowana w roku 1497, była tak cenioną przez mecenasów wszech krajów, że sporządzono z niej, jeszcze za życia Dürera, kilka kopij (niektóre może on sam), z których jedna znajdowała się w Monachium, obecnie przeniesiona do małego muzeum w Burghausen.

Niewielkie tuż pod szyją zakończone popiersie tak zwanego Hansa Dürera przedstawia ogorzałego, szczupłego, lecz muskularnego młodzieńca, twarzą ukośnie zwróconego do widza. Początkowo na wąskiej drewnianej tafli założone malowidło, zostało poszerzone w formę kwadratu, dodanemi po obu bokach listewkami. Głowę okrywa czapka ciemno bronzowa, dziwacznego kształtu, spadająca z fantazyą na prawe ucho, nad lewem ukazując szczelnie do włosów przylegającą jarmułkę siatkowej roboty, o wielkich okach. Połysk starej, złotawej patyny na szerokim bronzowym kołnierzu

od płaszcza, obudza w krytycznym widzu zainteresowanie tem większe, że szczególny ten powab dawnego malarstwa nie daje się zauważyć na innych obrazach Dürera w Starej Pinakotece.

Starannie pędzlem rytowane cieniowania nad górną wargą, na podbródku i na lewym policzku,[1]) na szyi i mało widocznym muskularnym obojczyku, zarazem twarde, szczecinowate traktowanie brwi zdaje się usprawiedliwiać przypuszczenie, że obraz ten powstał wcześniej niż wiszące obok podobizny Wolgemutha i Oswalda Krella. W takim razie data 1500, umieszczona z prawej strony, w górnym kącie nie byłaby autentyczna.

Wierzchnia barwna powłoka na dolnej części obnażonej szyi została zdjętą przy nieostrożnem odczyszczaniu obrazu, ukazując lekkie, wodniste podmalowanie cielistego koloru; z drugiej strony brak wszelkiego przemalowania obcą ręką pozwala na swobodną obserwacyę indywidualnego dürerowskiego pojmowania techniki: subtelne zarysowanie nosa, potężna, prawie zwierzęca kość szczękowa niedostatecznie modelowana, linja prawego policzka, o wężowatym konturze, zbyt ostro odcinającym się od ciemnego tła, wreszcie fałszywa perspektywa i twarz zamała w porównaniu do szerokiej czaszki, oto cechy znamienne dla młodego Dürera. Jednakże poważny, piękny wyraz oczu daje przeczucie owej głębokiej, tęgiej, często ostrej, lub szorstkiej charakterystyki, która przyczynia się decydująco do późniejszego wyrobienia znanej odrębności stylu Dürera.

Portrety Oswalda Krella, Wolgemutha i Autoportret znajdują się od roku pod szklanną szybą, co utrudnia oczom badacza bezpośredni dostęp do warstwy barwnej. Badacz dzisiejszy, z konieczności powodowany pewną powściągliwością w wyrażeniu swego zdania, musi ograniczyć się do omówienia tylko tych szczegółów, które po przez szkło wpadają w oko; przezornem byłoby zastrzeżenie sobie prawa częściowej zmiany zdania, gdy nadarzy się sposobność ujrzenia obrazu nie zasłoniętego tarczą ochronną.

Portretowi Oswalda Krella, z roku 1499, brak owej jedności w rysach twarzy, która znacznie dodatniej wypadła w podobiznach Elżbiety Tucher (muzeum w Kassel), w Autoportrecie z muzeum

---

[1]) Określenia prawo i lewo rozumieć należy od strony obrazu, nie od strony widza. Uwaga ta dotyczy całej pracy niniejszej.

w Prado, a nawet u wspomnianego wyżej t. tw. Hansa Dürera. Ostre, prawie dzikie spojrzenie, zwrócone w bok, po przez widza, uwydatnia niedokładny a priori rysunek nosa. Te szczegóły nie odejmują jednak nic silnemu wrażeniu, jakie wywiera twarz, oraz całość kompozycyi o urozmaiconem tle, którego brak w portretach Hansa Dürera i Wolgemutha. Czerwona kotara, stanowiąca trzy czwarte tła, otwiera w jednej czwartej widok na krajobraz w głębi; grupa wysokich drzew na przodzie zasłania jednak dalsze plany, czyniąc je prawie niedostępnymi oku; w porównaniu z szerokim, górzystym krajobrazem, urozmaiconym symboliczną ciemnicą chmurnego nieba na portrecie Elżbiety Tucher, (z tego samego roku), ten ostatni wypadł dodatniej.

Na kotarze rozróżnić łatwo dwa koloryty różnego pędzla: z lewej strony to lekka, połyskliwa barwa Dürera, od strony krajobrazu uderza, rażąc oko, nieudolne przemalowanie gęstym cynobrem, o matowym tonie: szczegóły barwnego modelowania na piersiach i białej wypustce od koszuli zniknęły wraz z wierzchnią warstwą farby przy odczyszczaniu niewprawną ręką, brak ten nie razi zbytnio, natomiast ogólna staranność kompozycyi podnosi wartość artystyczną nisko zakończonego portretu, imponującą postawę przyozdabia bogate futro, zarzucone na prawe ramię, a ręce bez zbytniego przymusu ułożone, dodają wdzięku całości.

Na przeciwległej ścianie wisi głowa surowego starca, tonącego w głębokiem zamyśleniu: na obnażonej szyi charakterystyczne dla późnego wieku fałdy, policzki zapadnięte na bezzębnych szczękach: to Michał Wolgemuth, nauczyciel Dürera. Czarne jedwabne nakrycie głowy zdaje się być misternie zawiązaną chustką raczej, niż czapką i końce jej prawdopodobnie swobodnie opadają na plecy, lub zostały schowane pod fałdy, celem zupełnego naśladowania mycki, używanej w domu. Wszelkie porównanie ze sztychami i drzeworytami Dürera daje powyższemu przypuszczeniu trwałą podstawę: w cyklu „Mniejsza Pasya“ (Kleine Holzschnittpassion), na sztychu B. 11, żołnierz postępujący obok Chrystusa z prawej strony, ma za okrycie głowy chustkę, której końce opadają nisko na plecy; postacie św. Weroniki na sztychu z tego samego cyklu B. 12, mężczyzny, stojącego z książką w ręku pośrodku drzeworytu „Obrzezanie“ B. 86, wreszcie starzec na rysunku L. 144, mają to samo ubranie głowy. Natomiast Hans Dürer, Hans Tucher i młody człowiek z Hampton Court (1506) noszą zdecydowane czapki. Celem poparcia niniejszego twierdzenia nie

należy się uciekać do rysunkowej kopii z portretu Wolgemutha, znajdującej się w muzeum Albertina w Wiedniu; kopia ta jest zbyt nieścisłą, nadto rysownik, opuszczając charakterystyczne dla lekkiego, związanego materyału urozmaicone fałdowanie, widocznie uważał nakrycie głowy Wolgemutha za przedmiot zatrzymujący pewną, zdecydowaną formę nawet po zdjęciu z głowy. Wyraźnego w oryginale skrzyżowania materyi tuż nad czołem, nie oddaje rysunek.

Omówienie niniejsze wpadałoby ściśle w zakres Historyi Kultury, gdyby nie spostrzeżenie, że stanowisko kopisty zajął również malarz, któremu niegdyś powierzono restauracyę portretu; nie uwzględnił on techniki Dürera w pojmowaniu świateł na załamaniach jedwabnej materyi; miasto pozostawić, — za ręką mistrza, — czerwonawe podmalowanie, przeglądające z podspodu celem uwydatnienia efektów świetlnych na cienkim jedwabiu, zamalował je miejscami gęstym stalowo-szarym kolorem, odejmując przez to materyałowi wrażenie lekkości.

Na ciepłem, zielonem tle obrazu, z lewej strony u góry znajduje się napis: „das hat albrecht durer abconterfet noch seine Lermeister michel wolgemut im jor 1516 und er war 82 jor und hat gelebt bis das man zelet 1519 jor. Do ist er ferschieden an sant endres dag fru, ee dy sun auff gyng“ Z tej samej strony u dołu widnieje data 1516, pod nią znany dürerowski monogram; niejednokrotnie stwierdzonem zostało, że data ta jest sfałszowaną; z pod jedynki między cyframi 5 i 6 wyraźnie przyświeca zero. Spostrzeżenie to wpływa bezpośrednio na zakwestyonowanie autentyczności długiego napisu u góry, przynajmniej w części, i obala jedyne źródło, na mocy którego oznaczono datę urodzin Wolgemutha i jego śmierci; zgodnie z napisem przypadałyby urodziny na rok 1437, zaś śmierć jego na „dzień św. Andrzeja“, 30. listopada 1519 roku. Dostatecznem było, by nieuważny odnawiacz zmienił możliwą dwójkę w dacie śmierci na obecną dziewiątkę, nieznaczna ta poprawka zmuszała do dalszego fałszowania cyfr w napisie. Według innego przypuszczenia, nie jest niemożliwem, by Wolgemuth został sportretowany w młodszym wieku, gdyż nie często spotykamy starca osiemdziesięcio dwuletniego o włosach blond, z kilkoma zaledwie srebrzystemi nitkami. Siwy kosmyk, wyglądający z pod ucha, zawdzięczamy późniejszemu przemalowaniu. Wspomniany rysunek wiedeński jest złą kopią z dürerowskiego oryginału, powstałą dopiero na początku XVIII wieku; pomysł obcięcia szyi nakształt plastycznego medalionu, bez ubrania mógł

powstać dopiero w czasie rozkwitania Baroku, pod przemożnym wpływem sztuki starożytnej: używanie ołówka nieznanem było w XVI wieku, co obala przypuszczenie Ephrussi'ego, że rysunek ten jest własnoręcznym szkicem Dürera do portretu Wolgemutha[1]), nadto sposób, w jaki nałożono białe światła na ciemny papier, spotyka się znacznie później, dopiero około roku 1700. Od pierwszego rzutu oko znać, że poczciwy człowiek o głupowatem spojrzeniu daleko odbiega od potężnego stylu Dürera; jeśli barwna podobizna jest malowaną z żywego modela, co nie ulega wątpliwości, to trudno by było obronić twierdzenie tegoż o rysunku, który tak dalece różni się w ogólnym charakterze, że nasuwa się zapytanie: czy rysunek przedstawia tego samego człowieka, co portret z monachijskiej Pinakoteki? Odpowiedź łatwa: twarz jest ta sama, tylko różni się zasadniczo w wymiarach; jest znacznie węższą i dłuższą na rysunku, inne są poszczególne momenty w konturach i plastyce.[2])

Pomimo wielu niedokładności musimy uważać rysunek z Albertiny za dokument, służący do stwierdzenia zmian, jakie zaszły w oryginale przez późniejsze poprawki i przemalowania. Zniknęło potrójne, wyraźne na rysunku zaokrąglenie ucha, dolny brzuszek został ścięty w kierunku policzka, a na jego miejscu powstała szara, szeroka plama, w niczem nie podobna do drobiazgowo traktowanych włosów Dürera, a jednak przyjmowana za takie. Na fotografii Bruckmann'a podniesionem jest za pomocą retuszu podobieństwo do pukla szpakowatych włosów, wierniejszą jest fotografia Haufstaengl'a. Szeroki zarys kości szczękowej zatrzymany został na rysunku; pierwotnie biegł on może pod niczem nieusprawiedliwioną plamą świetlną na szyi, niżej ucha; przypuszczenie, że Dürer wyjątkowo odstąpił tu od zwykłego sobie pojmowania szczęki, że domniemane zmodyfikowanie konturu przez późniejsze przemalowanie nie egzestuje, jest trudnem do stwierdzenia po przez szklanną szybę. Natomiast pewnikiem jest, że plastyczne cieniowanie, zgodne z rysunkiem z Albertiny i portretami Paumgartnerów (Monachium) zostało w tem miejscu częściowo zdjęte przy odczyszczaniu, wydobywając na wierzch wy-

---

[1]) Charles Ephrussi, Albert Dürer et ses dessins. Paris 1882, Cap. VIII. str. 180.

[2]) Powyższe dane, zaszerpnięte są z dzieła K. Voll'a, Vergleichende Gemäldestudien 1907. Monachium — Lipsku G. Müllera, str. 120.

raźne, a niemożliwe w twardej kości, załamanie się linii. Przez zdjęcie wierzchniego lekkiego pokładu farb zanikneły również plastyczne szczegóły na lewym policzku i blask lewego oka, odpowiadający prawemu.

Pierwowzorem ust dürerowskich były zawsze jego autoportrety; w całej twórczości mistrza zarówno barwnej, jak graficznej, znajdujemy, wąskie, zawiędłe starcze wargi tylko w trzech portretach; u Jakóba Fuggera (Monachium), u Jakóba Muffel'a (Berlin) i u Wolgemutha: w pierwszych dwóch wypadkach usta są rozmyślnie odmiennie traktowane, celem podniesienia ogólnego charakteru starczej głowy; jest to dowodem wyższej dojrzałości artystycznej w latach 1518 i 1526. Usta Wolgemutha — podobne ustom ojca Dürera z obu portretów, — znamionują odrębne cechy z młodych lat Dürera tem więcej, że brak im dzisiaj pierwotnych szczegółów cieniowania, które podnosiło względną pełność warg.

Ogół powyższych spostrzeżeń służy za dowód, że portret Wolgemutha nie powstał w roku 1516, jak jest datowany, lecz znacznie wcześniej, może równocześnie z portretami Hansa Dürera, Oswalda Krella i Tucherów, a w każdym razie w tym samym okresie twórczym, czyli między rokiem 1499 a 1502. Ku przyjęciu drugiej daty zdaje się skłaniać uderzające podobieństwo rysów twarzy do Łukasza Paumgartnera, zaś cechy poszczególne w traktowaniu głowy są równe odpowiednim cechom na podobiźnie Stefana Paumgartnera (Tryptyk Paumgartnerów) (Monachium).[1])

Gruby pokład pokostu, twardniejąc z biegiem lat, pokrył całą powierzchnię autoportretu Dürera szklistą powłoką, utrudniającą dokładne badania; wywołało to w pewnych kołach naukowych stokrotnie powtarzane żądanie zdjęcia powłoki za pomocą, używanych zwykle przy odnawianiu obrazów, środków technicznych. Kołatania o uprzystępnienie obrazu pozostały niewysłuchane, a wypadek zdarzył, że ochroniło to pomnikowe dzieło od zniszczenia. Oto wiosną roku 1906 ktoś, przypuszczalnie umysłowo chory, nie mogąc znieść przenikającego go do głębi wzroku Dürera, ostrem narzędziem kilkakrotnie raz koło razu uderzał w oczy portretu.

[1]) Portrety braci Paumgartnerów są zbyt świeżo i dokładnie omówione w dziele K. Voll'a, Vergleichende Gemäldestudien, str. 20. „Die Flügel des Paumgartner-Altares vor und nach der Restauration“, by dopuszczały dalsze krytyczne studyum.

przecinając je podłużnymi rysami. To samo spotkało portret Oswalda Krell'a a sprawca uszedł bezkarnie stróżom muzealnym.

Zdaniem Prof. Voll'a, konserwatora Starej Pinakoteki, uszkodzenia te, acz szybkim i gwałtownym ruchem wykonane, nie przebiły grubej, szklistej powłoki; pokład farb został zatem nieuszkodzony i gdy Rada muzealna zadecyduje kiedyś zdjęcie pokostu, ukażą się pod spodem nieuszkodzone ślady pędzla mistrza. Narazie, w celu ochrony przed nową napaścią, pokryto obraz szybą szklanną, czyniąc go podwakroć niedostępnym oku.

W portrecie własnym wzniósł się Dürer na najwyższy szczebel twórczego napięcia z lat młodych; niestety twarz uległa późniejszemu przemalowaniu kolorem zimnym, niebieskawo-szarym, przypominającym nowożytne sposoby malowania, a nie mającym nic wspólnego z ciepłymi, żółtawymi tonami na ręku. Jednakowoż przemalowanie jest mistrzowskie, — nie odbiera nam rozkoszy, jakiej doznajemy na widok autentycznego dzieła, nie niszczy niektórych cech kolorytu. Światła padające na czoło i nos, zdają się być zaznaczone przez Dürera, odpowiadają bowiem grubo nałożonym światłom na twarzy Oswalda Krella; w portrecie własnym są one więcej odczute, łagodniejsze, zlewające się bardziej z otoczeniem. Znać tu wprawniejszą rękę o szerszym rozmachu, byłoby to jednym z dowodów nieautentyczności daty 1500, gdyby dokładne odróżnienie śladów pędzla Dürera było tu możliwem.

Pomijanie krytycznego omówienia twarzy, z powodu pokrywającego ją pokostu, jest niedostatecznie usprawiedliwioną ostrożnością: warstwa stwardniałego pokostu, jednakowej grubości na całej płaszczyźnie obrazu, zmieniając cechy dürerowskiego kolorytu w twarzy, zmieniałaby je w jednakowym stopniu na ręku. Ręka zaś nietylko zasadniczo różni się w tonie, szare rysowane pędzlem nierówne w liniach i nieraz krzyżujące się cieniowania są również odmienne od zdumiewająco równych, lekkich linijek na nosie z prawej strony i pod dolną wargą. Ręka o sztucznym układzie palców, lekko muskająca futrzany kołnierz, zawiera w sobie wszystkie znamienne cechy gotyku; taka ręka mogła powstać tylko w pewnem określonem stadyum twórczości Dürera, bezpośrednio przed wyjazdem jego do Wenecyi, gdyż ani w „Święcie Matki Boskiej różańcowej“, wykończonem w sześć miesięcy po przyjeździe, ani w obrazie „Chrystus pomiędzy mędrcami“, malowanym w tym samym 1506 roku w Wenecyi, nie odnajdujemy ręki o podobnym układzie; również mniej gotycką, komponowaną w duchu wpły-

wów renansowych, jest ręka „Matki Boskiej ze szczygłem“ (Berlin) i „Adama“ z Prado: ta zdobycz, nie rozwijając się dalej, miała pozostać Dürerowi przez czas jego najwyższego rozwoju aż do portretów cesarza Maksymiljana (Wiedeń) i Erazma z Rotterdamu. (B. 107). Natomiast w okresie z przed roku 1505, spotyka się często rękę o kompozycyi podobnej ręce z autoportretu: akt kobiecy w „Śnie“ B. 76 z roku 1504, lub dziewczyna porwana przez „Morskiego potwora“ B. 71, z tegoż roku.

W galeryi peszteńskiej przechowuje się ciekawy arkusz papieru, zapełniony różnymi szkicami Dürera, a oznaczony u Lippmanna numerem 185. Znajdująca się na nim ręka jest uderzająco podobną do ręki z autoportretu, ten sam układ palców, podobny kąt nachylenia dłoni, jednak rysunek, który jest wierną i swobodną w ruchu kopią z natury, został zmieniony, wedle ówczesnego pojmowania, pozbawiony cech bezpośredniego studyum, sztucznie ułożony.[1]) Niewątpliwie za model służyła tu ta sama własna lewica Dürera, która w autoportrecie, widziana w lustrze, stała się prawą ręką. Również interesującymi dla nas są inne drobne szkice na tym samym arkuszu; pierwszy z pięciu profili, to profil Ewy z roku 1504 B. 1, ostatni, to szkic do głowy mężczyzny w „Śnie“ B. 76 1504; dwa szkice hełmów rycerzy niemieckich u dołu i pobieżny rysunek Madonny, prawdopodobnie użyty później do rysunku „Matka Boska między zwierzętami“ z Albertiny. Szkice te powstały zatem przed rokiem 1504 i zostały niedługo użyte.

Inny rysunek (L 23), przedstawiający portret własny w całej postaci z roku 1505, pomimo silnego uszkodzenia papieru, zachował kilka zajmujących szczegółów; kędzierzawe loki luźno spadają na ramiona, ręka jest wierną kopią z natury, prawie nieznać na niej wpływu quatrocenta, rękaw nieumotywowanie zawinięty po nad dłonią odnajdujemy w autoportrecie z Pinakoteki monachijskiej. Powróćmy do niego. Okalające twarz, wspaniałe we wrażeniu, a do lwiej grzywy podobne włosy, nie mogły powstać po doświadczeniach włoskich z roku 1506. Samo założenie czupryny, w zdecydowany trójkąt ujętej, świadczy raczej o wpływie norymberskich studyów teoretyczno-matematycznych, jak o wrażeniach włoskiej

---

[1]) Ten sam los spotkał studyum do rąk Chrystusa (L. 137) z pałacu Barberini.

niezależnej sztuki. Te same włosy na portrecie własnym z „Święta różańcowego" są znacznie ostrożniej ułożone, raczej jako studyum z natury traktowane.

Rękaw fantastycznie, bez uzasadnienia zawinięty nad dłonią stanowi kontrast z naturalnymi fałdami wyżej i niżej łokcia, futrzane podszycie wyraźnie wypełnia bufiaste zaokrąglenie na wierzchniem sukni. Wiszący obok portret Oswalda Krella, o dziwacznie pomarszczonym rękawie, ułatwia porównanie na korzyść autoportretu, w którym sposób fałdowania znajduje pierwowzory w płaszczu św. Józefa z „Tryptyku Paumgartnerów" (1502?), alba w szacie anioła grającego na harfie z drzeworytu „Adoracya Najświętszej Panny" (1504). Na podstawie powyższych danych odnaleść można, obok starannych studyów nad włoskiem malarstwem, zdecydowane wpływy niemieckie z XV. wieku. Autoportret monachijski wytrzymuje w szczegółach najszersze porównanie z epoką twórczą mistrza, w której staranne i długoletnie kopjowanie Leonarda i Mantegnii otwiera mu nowe horyzonty ścierające się w zapamiętałej walce z dawniejszymi nabytkami.

Jednakże całość kompozycyi nie mogła powstać w roku 1504.

Intenzywność duchowego napięcia u mistrza nie sięgała wówczas dość wysoko, wyrażała się w niespokojnych, gotycko na bok skręconych głowach, — w sztuce graficznej, lub w twarzach prawie pozbawionych trzeciego wymiaru, nieudolnie w trzech czwartych zwróconych od widza — w malarstwie. Podróż włoska modyfikuje te przeżytki w takim stopniu, że nie mogłyby się z nową siłą odrodzić w szczegółach ręki, białych wypustek na ramieniu i włosów momentalnej, po zatem, kompozycyi en face. Wprawdzie wegetują one w twórczości Dürera do samego końca, ale złagodzone znacznie.

Wobec tego przypuszczenie, że autoportret powstał w roku 1505, bezpośrednio przed podróżą włoską, zdaje się znajdywać dostateczne usprawiedliwienie.

Wprawdzie Prof. Henryk Wölfflin powiada: „gleichgültig, ob es in Venedig selbst, oder nachher in Nürnberg gemalt wurde.... Das Dürer im Typus so hoch greifen konnte, wäre ohne Italien nicht möglich", [1]) lecz portret ten jest dziełem natchnienia, wspa-

[1]) H. Wölfflin, Die Kunst Albrecht Dürers. Verl. F. Bruckmann, München 1905, str. 136 i 139.

niale odosobnionem, nie znajdującem równego, nawet w zwycięskim pochodzie twórczym z ostatnich lat piętnastu życia Dürera.

A takie dzieła powstają nierzadko, jako przepowiednia przyszłości.

Monachium, 15. kwietnia 1907 r.

Henryk Ochenkowski.

WOŁOCZYSKA.[1]

Quis est, quem non moveat rerum gestarum memoria, consignataque antiquitas?

Wołoczyska, dawniej Wołoczyszcza, jest to dziedzina kniaziów Zbaraskich, którzy otrzymali nazwisko od Zbaraża, a ich protoplastami byli kniaziowie Nieświeccy, potomkowie książąt Pińsko-Turowskich (Wolff, Kniaziowie litewsko-ruscy, p. 276).

Wasyl Nieświcki, żyjący w XV w., miał trzech synów, dzielących się w Łucku d. 9. lipca 1463 r. ojcowizną, (Arch. Sławuckie t. I. p. 54); Wasyl, najstarszy z nich, wziął Zbaraż i jakie 30 wsi przeważnie w powiecie teraźniejszym zbaraskim, tarnopolskim i kilka w krzemienieckim, pomiędzy niemi są też Wołoczyszcza, ale to albo Podwołoczyska obecne, albo Wołoszczyzna w podhajeckiem lub bobreckiem: Semen otrzymał miasteczko Kodeń a przytem jakich 20 kilka wiosek, głównie w krzemienieckiem, kilka w zbaraskiem i brodzkiem i Porochnie w teraźniejszym powiecie starokonstantynowskim i w tymże powiecie Wołoczyszcza, późniejsze Wołoczyska nasze: Sołtana własnością stały się obydwa Wiśniowce, miasteczko Dwór, Maniów, Grodek i 20 wsi innych w powiecie krzemienieckim.

---

[1]) Ustęp z większej całości, obejmującej opis całego powiatu starokonstantynowskiego.

Semen umarł przed r. 1481 zostawiając żonę Maryę, nieznanego de domo nazwiska, później występującą pod nazwą księżny Rówieńskiej (1 voto za Jakóbem Wojną Niemirowiczem); miał on z niej córkę Nastazyę, żonę Semena Jurjewicza, kniazia Holszańskiego, zmarłą w 1516 roku, której znowu córka Tatyana, poślubiła kniazia Konstantego Iwanowicza-Ostrogskiego i opuściła ten świat w 1522 roku (Wolff l. c. p. 608). Tym sposobem znaczna część majątków zbaraskich, scheda Semena, przeszła do kniaziów na Ostrogu i Zygmunt I. potwierdził d. 14. maja 1518 roku Konstantemu Ostrogskiemu spuściznę po Semenie Wasilewiczu (Arch. Sław. III. p. 166). Są tu wymienione: Wołoczyszcza, Porochnia, Kołodno. Czernichów, Iwaczów Wierzchni, Dworzec, obydwa Maniowy, Łopuszna i wiele innych wsi i wiosek; znaczna jednak ich część potem znowu do Zbaraskich powróciła, może na mocy jakiego układu familijnego; pomiędzy niemi znalazły się też i Wołoczyszcza, odtąd już stale do kniaziów należące na Zbarażu.

Otóż od Semena i Sołtana pozostały same córki, a tylko Wasyl, najstarszy syn Wasyla, miał kilku synów, z tych Michał stał się protoplastą kniaziów Wiśniowieckich, Fedor — Woronieckich, Poryckich i Trysteńskich, a Semen (t. z. drugi), ojciec Andrzeja, żonatego z Anną Herburtówną, prowadzi dalej ród kniaziów Zbaraskich.

Andrzej miał 5 synów (Wolff l. c. p. 609) — Mikołaja Stefana, Jana v. Janusza, Władysława i Michała — i dwie córki: prawdopodobnie on też odzyskał Wołoczyszcza.

Dlatego dorozumiewamy się, że Andrzej już posiadał tę włość, bo syn jego najmłodszy Michał, zmarły młodo, przed rokiem 1554 (Wolff p. 609) razem z matką, bo może jeszcze nie miał własnej schedy, w r. 1545 w Zbarażu, Wołoczyszczach i Wżychowcach (Ożohowcach, alias Nowym Zbarażu) pobierał od wozu po dwa grosze myta (Jabłonowski t. V. p. 93).

Potem panem na Wołoczyszczach został Władysław Andrzejowicz, starszy brat Michała, otrzymawszy przywilej na założenie miasta w Wołoczyszczach w 1557 roku (Wolff l. c.). Ten Władysław, starosta botocki, sprawca województwa kijowskiego w 1570 roku (Jabłonowski, Wołyń i Podole p. 27) „z imienia swego Wołocczicz“ i wiosek do nich należących, opłacił z dymów 104, ogrod. 64, bojarów 16, kół młyńskich 8, kotłów gorzałczanych 8. Żonaty on był z Zofią Przyłuską i umarł pomie-

dzy 1581—1582 rokiem, mając trzech synów: Stefana, Konstantego, Piotra i tyleż córek: Magdalenę Szemetową, Katarzynę Charlińską i Annę, zmarłą w panieństwie jako z rodu ostatnia 1637 roku.[1]

Po śmierci Władysława Zbaraskiego dzieci jego opiekunem został brat jego Stefan, od r. 1566 wojewoda trocki, — uczczony mową pogrzebową w 1585 r. przez słynnego Jezuitę O. Benedykta Herbesta (Wolff p. 615) — majątki więc Władysława „trzymał" właśnie ów wojewoda trocki i miasteczko Wołoczyska w 1583 roku tak wyglądało (Jabłonowski, Wołyń i Podole p. 127): domów w rynku 23, ulicznych 70, nędznych chałup 42; rzeźników 2, przekupniów 3, skomorochów 2, (kuglarz, śpiewak też), luźnych 5, piekarzy 3, sług żydowskich tyleż, ogrodników 23, komorników 10, rzemieślników 8, dwa koła w. 1 fol.: w tem miasteczku, powiedziano tam, „od zapalenia żołnierzów w 1580. które ludzie będąc zubożeni na majętnościach swoich w niwecz się obrócili, dlaczego i poboru oddać nie mogli".

We wsi zaś Starych Wołoczyszczach (Podwołoczyska?): dymów 3, ogrodników 8, ogrodników innej kategoryi 5, komorników 6, 3 koła d., bojarzyn 1 i pop. 1.

Wszyscy synowie Władysława Zbaraskiego pomarli bezpotomnie; zapewne oni, może kolejno, władali tą włością; wiemy np., że należała ona do Piotra Władysławowicza (Arch. J. Z. R. VI. l. p. 233), żonatego z Ewą Aleksandrówną Wiśniowiecką. nawrócili się oni w 1595 r. (Wolff l. c. i Niesiecki), a pomiędzy 1603—1604 r. Piotr już nie żył, żona zaś jego umarła w 1618 r.; czy do śmierci posiadała Wołoczyszcza, nie wiemy, ale 1607 r. już żadnego z Władysławowiczów Zbaraskich nie było na świecie, lecz żyła jeszcze Anna, jak mówiliśmy o tem wyżej. Może być, że do niej właśnie do śmierci należały Wołoczyska, bo gdyby która z jej sióstr, czy Szemetowa, czy Charlińska, miała te posiadłości. to przeszłyby one na potomków sióstr owych, ale się tak nie stało.

Otóż kiedy już wymarli wszyscy Zbarascy, to dobra ich spadły na Wiśniowieckich, a to tym sposobem.

Ciotka rodzona ostatnich dwóch z tego rodu — Krzysztofa zm. 1627 i Jerzego zm. 1631 roku, nagrobki u Dominikanów w Kra-

---

[1]) Żychliński, Złota księga, IV. p. 168, mówi o jakiejś Zbaraskiej za Mateuszem Małyńskim, zresztą nikomu nieznanej...

kowie, synów Janusza — Marusza Mikołajówna Zbaraska, wyszła była za Wasyla Zahorowskiego, kasztelana bracławskiego (prędko ją potem porzucił i pojął K. Czartoryską, a po jego śmierci obie jego małżonki długo się spierały o prawowitość małżeństwa), i miała jedyną córę Hannę, nie wiadomo w jaki sposób, ale już katoliczkę; Marusza umarła w 1620 r., a jeszcze wcześniej jej córka, żona Konstantego Konstantynowicza, Wiśniowieckiego (ur. 1564 zm. 1641), którego nawrócił Jezuita O. Kacper Nahaj przy pomocy żony, odznaczającej się wielką gorliwością (O. St. Załęski). Z tego małżeństwa był Janusz, ur. 1598 zm. 1636, starosta krzemieniecki, koniuszy koronny, żonaty z Eufemią Katarzyną Tyszkiewiczówną, wojewodzianką wileńską i jego potomstwo otrzymało spadek po Zbaraskich (Wolff l. c. p. 570 et 599).

Przy końcu 1651 roku synowie Janusza Wiśniowieckiego — Dymitr Jerzy i Konstanty Krzysztof — dzielili się fortuną Zbaraskich (Wolff c. p. 573) i pierwszy z nich otrzymał Niemirowszczyznę, Berszadę, Wołoczyska et alia; miał on trzy córki: Eugenię Katarzynę Koniecpolską, zmarłą bezpotomnie, Zofię Leszczyńską (żonę Wacława, dwie ich córki, Teofila Konarzewska, 2 v. Januszowa Wiśniowiecka a ostatecznie Dominikanka i Wiktorya za Józefem Potockim, kasztelanem krak.) i Salomeję w Zakonie św. Benedykta, które te majątki Zbaraskich odziedziczyły.

Salomeja, urodzona w 1659 r., wstąpiła do Benedyktynek we Lwowie, obrana ksienią w Przemyślu 1698 r. przeniosła się do wieczności w Przemyślu d. 15. kwietnia 1716 r. (ż kroniki Benedyk. przemyskich, rękopis). Otóż Matka Salomeja ustąpiła swoją schedę swojej rodzonej siostrzenicy Wiktoryi Leszczyńskiej i mężowi jej Józefowi Potockiemu, natenczas tylko staroście śniatyńskiemu, halickiemu i kołomyjskiemu w 1695 roku; w tę schedę wchodziły: Czartorysk, Kołki, Rafałówka, Niemirów, Zbaraż, Założce, Manaczyn, Łachężyn, Wołoczyszcza i inne jeszcze dobra (akta grodz. lwowsk. liber inscript. an. 1695 p. 884). Józef zaś Potocki, zmarły 1751 r., wszystkie te majątki przekazał synowi Stanisławowi (zmar. 1760) dwa razy żonatemu: z Maryą Łaszczówną i Heleną Zamoyską.

Ów Stanisław zostawił kilku synów, którzy władali tą fortuną, ulegającą kilkukrotnym działom i zmianie dziedziców. I tak w 1762 r. należały Wołoczyska czas jakiś do Wincentego (akta grodzkie lwow. liber relationum an. d. 1762 p. 1818), a w 1771

roku na mocy nowego działu (akt. grodz. lwow. liber relat. fas. cap. 83. Nr. exp. 404) Wincenty otrzymał: Brody, księstwo Zbaraskie, Leszczyn (na Ukrainie); klucz Obodowski w Bracławszczyźnie; Franciszek Ksawery: Tarnopol, Rudniki (w Sandomr.), Studenicę, Niemirów i Otenię; Piotr: Józefów, Zalesie, Dunajowce, Berszadę i Pieczarę: Józef klucz Wołoczyski, Kułaczkowski, Magnuszew, Tyśmienicę, Stanisławów, Łysiec et alia. Franciszek Ksawery prędko umarł, więc znowu dział inny, a po śmierci Piotra toż samo (Bibl. Warsz. 1855. t. I.).

Majątki były ogromne, ale i długów na nich ciężyło mnóstwo. Józef Potocki, ostatecznie krajczy koronny, (zmarł 1802 r.), nie długo zostawał panem na Wołoczyskach: w 1772 r. przedał je, razem z innemi dobrami, Frydrykowi Moszyńskiemu za 1, 700.000 zł. (akta grodz. lwow. liber insbriet. an. D. 1772 p. p. 396). Jednocześnie z kluczem wołoczyskim nabył też on od Potockiego klucz monasterzyski i karabczyjowiecki.

Frydryk Moszyński, znana dobrze osobistość (Bartoszewicz, Znakomici Mężowie; Rolle, Sylwetki i Szkice, IV).

Jan Kanty Moszyński h. Nałęcz, podskarbi w. k. żonaty z Augustą Cosel, zostawił dwu synów: Augusta Frydryka i Frydryka Józefa, następnie marszałka w. k.; August miał syna Jana, ożenionego z Maryanną Sadowską i z niej dwie córki — Frydrykę i Joannę; Frydryk zaś żenił się dwa razy (z Barbarą Grudzińską i Salomeją Rzyszczewską) i umarł bezdzietnym d. 22. stycznia 1817 r. Liczono mu wtedy 79 lat (pomnik w kościele wołoczyskim): jedynymi więc sukcesorami były owe 2 córki Jana Moszyńskiego, ale marszałek koronny pragnął bardzo, aby majątki nie wychodziły z tego nazwiska, więc szukał krewnych po mieczu po całej Polsce i znalazł ich w Sandomierskiem (mówiono, że raczej to byli nie krewni, lecz tylko tego samego nazwiska), Ignacego Hilarego i syna jego Piotra.

Otóż temu Ignacemu Hilaremu z Łoniowa zapisał dobra dolskie, (powiat kowelski), wnuczce Frydryce klucz ternowicki (na Ukrainie), a Joannie berszadzki i niestoicki: [1]) według wyrachowa-

[1]) Berszada — teraz w p. olhopolskim, miasteczko, mające obecnie dymów 1.353, mieszkańców 15.620, a Niestoika — wieś w p. bałckim, domów 652, mieszkańców 3.040; obydwa majątki należą do sukcesorów Joanny Moszyńskiej.

nia Rollego stanowiło 4 miasteczka, 54 wioski, 30.682 poddanych i 338.742 morgów ziemi; ale to jeszcze nie były wszystkie marszałka koronnego majątki ziemskie, nie mówiąc już o kapitałach, klejnotach, kopalniach miedzi w Saksonii etc. Ignacy Moszyński (ur. 1763 r. d. 13. maja, zmarł 1827 r. d. 5. lutego, pomnik w kościele wołoczyskim) tymczasem owdowiał, był on żonaty z Zofią Romiszewską; nagrobek jej znajduje się u Reformatów w Krakowie; na nim czytamy: Zofia z Romiszewskich hrabina Moszyńska, zmarła 3. sierpnia 1812 roku, żyjąc lat 37, zostawiając w smutku Hilarego Ignacego męża i syna jedynego Piotra lat 13 mającego.

„Smutek“ ten nie musiał być bardzo wielki, bo prędko później poślubił on Frydrykę Moszyńską, a marszałek dał znowu klucz wołoczyski i karabczyjowiecki (Karabczyjów Wielki w p. kamienieckim), zbudowawszy rezydencyę pod Wołoczyskami i nazwawszy od swego imienia Frydrykówką (mianują też i Frydrykowem). Była to pierwsza rezydencya, gdyż dotąd dziedzicy nigdy tam stale nie mieszkali.

Około roku 1813 w kluczu wołoczyskim liczono poddanych płci męskiej 2.382, a kahał żydowski[1]) wynosił głów 305 (współczesne notatki w ręku piszącego).

W roku zaś 1823 Ignacy Moszyński posiadał w kluczu wołoczyskim poddanych 2.352 opłacając podatków rub. asyg. 16.181 i kop. 75 (współczesne notatki).

Nowy ten dziedzic wołoczyski z drugiego małżeństwa nie miał dzieci, a tylko syna Piotra, z pierwszej żony, urodzonego w sandomierskiem w Łoniowie, według wszelkiego prawdopodobieństwa jeszcze w XVIII w. (w 1799, a może nawet przy końcu 1798 r.), chociaż zwykle podają rok jego urodzenia 1800. ale nie słusznie. Uczył się on w Krzemieńcu (Pamt. Bobrowskiego II. p, 408) i w młodym wieku poślubił Joannę Moszyńską, siostrę młodszą swojej belle-mére'y, wziąwszy następnie prawie całą marszałka koronnego fortunę (Rolle szacuje ją na trzydzieści kilka milionów zł. polsk.).

Odznaczał się on wielkimi przymiotami serca i rozumu, patryotyzmem, przywiązaniem do kraju, dla którego chciał pracować, nie szczędząc ofiar i poświęceń. Po r. 1823 obrano go na marszałka

[1]) W 1765 r. głów żydowskich w Wołoczyskach miało być 384, a w całej ich parochii 390 = 774; Arch. J. Z. R. V. 2, p. 104. Przy końcu XVIII. w. w Wołoczyskach jakoby było c. 300 dymów.

gubernii wołyńskiej (Heleniusz, Wspomnienia lat minionych I. t. p. 280 et sqq.), był on wtedy jeszcze bardzo młodym; ale jaśniał zaletami, co go zdobiły w życiu prywatnem i publicznem. W swoim czasie wiele mówiono o świetnym balu, który on wydał w Żytomierzu w nowo restaurującej się siedzibie Sióstr miłosierdzia nad Teterowem, inaugurując swoje urzędowanie; wystąpił w bogatym stroju polskim, a młoda jego małżonka wszystkim się bardzo podobała, uprzejmość zaś gospodarzy zachwyciła gości bardzo licznie zebranych; dom ich w Żytomierzu był nader miły, gościnny i wesoły: mieli oni wtedy kilkoletnią córeczkę Józefę, co się potem takiem odznaczyła gorącem do ojca przywiązaniem i poświęceniem się dla niego ogromnem.

L. Dębicki tak powiada o Piotrze Moszyńskim (Wspomnienie pośmiertne, Kraków 1879, p. 6 et sqq.): skromny, cichy, oddał się naukom, pracy nad ludem, mało wyjeżdżał i nie lubił błyszczeć, choć miał wszelkie do tego warunki; tworzył on reakcyę przeciw powierzchownemu i lekkiemu trybowi życia: surowy dla siebie; poważnych usposobień, a gorących uczuć. Przez lata swego urzędowania oddał olbrzymie usługi... Nie był stworzony na spiskowca, choć następnie padł ofiarą konspiracyi.

Jest tu mowa o spisku rossyjskim, do którego wciągnięto i Polaków z towarzystwa patryotycznego, nie mającego na celu ruchu zbrojnego, lecz utrzymanie i rozwijanie zagrożonej narodowości polskiej. Bądź co bądź sprawa ta dotąd nie jest jeszcze wyjaśniona należycie.

W styczniu 1826 roku aresztowano Piotra Moszyńskiego, męczono go długo w fortecy petropawłowskiej, nękano niezmiernie i ostatecznie, cesarz Mikołaj przeznaczył dla niego dziesięć lat wygnania w Tobolsku.

Po roku 1834 pozwolono Moszyńskiemu zbliżyć się do kraju i następnie zamieszkać w Kijowie, dokąd zjeżdżali się rodacy i przyjaciele, aby swego powitać marszałka; nakoniec nastąpiła zupełna amnestya. Moszyński jednak nie mógł pospieszyć do Wołoczysk, bo dom tam został dla niego zamknięty; żona jego w gruncie nie tyle zła, jak słaba kobieta, korzystając z praw rossyjskich w kwestyi zesłańców na Sybir, bez rozwodu kościelnego wyszła za Jurjewicza. Bobrowski utrzymuje, że Moszyński potem otrzymał 2.000,000, a córka jego spadek po ciotce Ignacowej Moszyńskiej.

Otóż w Kijowie w 1839 r. wstąpił Piotr Moszyński w związki małżeńskie powtórne (jak tam tę kwestyę rozwiązano kanonicznie —

nie wiemy) z Anną Malinowską z Weremijówki w powiecie starokonstantynowskim, będącą prawie w wieku jego córki, gorąco namawiającej ojca do tego małżeństwa, chcąc go powołać tym sposobem do nowego życia i odrodzenia. Wreszcie w 1840 r. państwo Moszyńscy opuścili zabór rosyjski i przenieśli się do Krakowa, gdzie niemal lat 40 Moszyński przebywał, ciesząc się szacunkiem i poważaniem, zajmując wybitne stanowisko, a zostawiwszy ślady swojej działalności szlachetnej na różnych polach.

Patryotyzm, — powiada Dębicki — i wiara tak się zespoliły w jego duszy, że jedną utworzyły potęgę moralną wielkiej cnoty, ciągłej ofiary i poświęcenia. Ale bliższe szczegóły z życia Piotra Moszyńskiego nie wchodzą w zakres naszego opisu i zaznaczywszy, że w 1879 r. pobożnie w grodzie Podwawelskim świat ten opuścił, powracamy do Wołoczysk znowu, mając do zanotowania jeszcze parę momentów z ich przeszłości.

Dziedziczką klucza wołoczyskiego została teraz Józefa, córka Piotra Moszyńskiego, która w 1842 poślubiła Józefa Macieja Szembeka, 1818 — 1889, syna też Józefa i Katarzyny Patelskiej (Monog. heraldyczne Kossakowskiego). O tym Szembeku Bobrowski powiada (Pamt. II. p. 408): był on bardzo piękny, młody, ogładzony człowiek, ale zajęty sobą, swoim tytułem i przeznaczeniem do rozporządzania ogromną fortuną; na Wołyniu nie podobał się nikomu i w 1862 roku stał się niewypłacalnym, bo chociaż dobrze majątkami administrował, lecz wydawał sumy bajońskie, zbytkując i będąc bardzo kochliwy, umarł, straciwszy resztki fortuny żoninej.

Około roku 1860 pani Szembekowa posiadała w kluczu wołoczyskim poddanych płci męskiej 2.911, ziemi zaś, wogóle wszelkiej, zgóra 600 włók (notatka współczesna).

Rychło potem potrzeba było przedać ten majątek: nabywcą był Michał Gwidon Korzeniewski, t. z. generał, z Kodni.

Po śmierci Wincentego Ledóchowskiego żona jego, Anna de domo Głębocka herbu Doliwa, poszła powtórnie za Michała Gwidona Korzeniewskiego, swego szwagra, ale dzieci z nim nie miała, posiadając potomstwo z pierwszego małżeństwa: z tych Jan vel Janusz Ledóchowski, marszałek dubieński na Smordwie, zaślubił Aniele Małyńską herbu Poraj, krewną Korzeniewskiego;[1]) dla niej to kupił t. z. generał klucz

[1]) Siostra rodzona Michała Korzeniewskiego, Aniela, była drugą żoną Władysława Franciszka Czarneckiego, chorążego litewskiego i je-

wołoczyski, który następnie stał się własnością jej syna, Leona, ur. c. 1853 r., ożenionego około roku 1873 z Maryą Swiejkowską, (ur. w 1860 r.): do nich też dotąd klucz ten należy i stanowi jeden z większych majątków w powiecie starokonstantynowskim.

W Wołoczyskach z Frydrychówką teraz ziemi dworskiej c. 230 włók (Pamiatnaja knižka wołynsk. gubernii na r. 1901).

Miasteczko to położone nad Zbruczem, rozgraniczającym gubernię wołyńską od Galicyi: od miasta powiatowego, Starego Konstantynowa, oddalone o jakie mil 13, a od stacyi kolei żelaznej, tejże nazwy, prawie pół milki.

W miasteczku jest zarząd gminy, mieszka sędzia śledczy-notaryusz, jest zarząd policyjny, apteka, lekarz, dwa młyny, pewna ilość jakich-takich sklepów, kilka domów zajezdnych i jeden — niby hotel. Od roku 1796 znajduje się tutaj komora celna. Miejscowość bezleśna, pagórkowata, przerżnięta dolinami, nad rzeką, od strony rossyjskiej jest długi wał piaszczysty na jakie $^1/_5$ kilometra. Niedaleko od miasteczka cukrowarnia Zbrucz zwana, przy której dużo ludzi zajęcie i utrzymanie znajduje: jest tam domów 13 i ze stu mieszkańców, a w samych Wołoczyskach 300 z czemś domów i kilka tysięcy ludności.

Naturalnie wschodni obrządek jest starszy, dawniejszy w Wołoczyskach. Jużeśmy to wyżej wspominali, że w spisie ludności w XVI. wieku wymieniony też i pop, a zatem musiała tam być już cerkiew, dalsze jednak jej losy — nieznane. Aż dopiero znajdujemy o niej wieści w połowie XVIII wieku (Teodorowicz, Opisanie prichodow woł. eparchii starokonstant ujezd.). Józef Potocki, dziedzic wołoczyski, wydał erekcyę d. 25. lutego 1765 roku: cerkiew ta była pod wezwaniem opieki N. M. P. Unia tu zawitała

---

dna z ich córek, Julia, ur. około 1797 r., wyszła za Józefa Kalasantego Małyńskiego, urodz. około 1785 r., wniósłszy mu Ożohowce; mieli oni kilkoro dzieci, z tych Aniela, — przyszła na świat około 1821 r. w Ożohowcach, 22. czerw. 1840 r. poślubiła Janusza Ledóchowskiego, któremu liczono wtedy lat 31. — Michał Korzeniewski słynął w swoim czasie z ogromnych kapitałów, posiadał też Bereżno, miasteczko w pow. rówieńskim, w którem obecnie dymów 178 i 4.181 mieszkańców: oprócz bogactw, ów Korzeniewski dodatnich wspomnień po sobie nie zostawił; cf. Stecki, Z Boru i stepu, p. 321.

zapewne w pierwszej ćwierci owego wieku. Znani są niektórzy parochowie uniccy tej cerkwi: ks. Mikołaj Chotowicki, 1748—1763, ks. Konstanty Hukowski 1764—1768, ks. Stefan Dorosiewicz 1768—1784; ks. Jakób Niedzielski w ciągu roku 1784; Teodor Borecki od r. 1785, który dysunię przyjął przy końcu XVIII. w. (Teodorowicz l. c.). Ale Unia wtedy jeszcze tu nie zupełnie zaginęła: niektórzy księża uniccy (jeszcze o nich będzie mowa) tulili się czas jakiś przy kościołach łacińskich, wiernie się katolicyzmu trzymając.

Za to bez porównania więcej posiadamy szczegółów o świątyni łacińskiej.

Terytoryum, na którem Wołoczyska się znajdują, pod względem kościelnym należało do biskupstwa łuckiego. W połowie XVIII. w. w województwie wołyńskiem [1]) następujące były dekanaty: włodzimierski, dubieński, zasławski i zbaraski z świątyniami w Teofilpolu, Szumsku, Jampolu, Łanowcach, Ożohowcach, Białożorce, Szumbarze, Bazalii, w Kupielu, w Wołoczyskach.

Po pierwszym rozbiorze kraju, kiedy Zbaraż zabrano, przy końcu XVIII. stulecia, dokonano nowego podziału: utworzono oficyalat ołycki, do którego należał archidyakonat krzemieniecki z trzema dekanatami: dubieńskim, krzemienieckim i bazalijskim; w tym ostatnim wyliczone w 1798 roku takie kościoły: w Białozórce, w Ożohowcach, w Wołoczyskach, w Kupielu, w Bazalii, w Tereszkach, w Kulczynach, w Starym Konstantynowie dwa, w Białogródce, Lachowcach, Szumsku, Szumbarze, w Dederkałach, Jampolu, Wyżgródku, Kołodnem, Łanowcach i w Teofilpolu. Później nastąpiło nowe rozgraniczenie dekanatów, których obszar bywał identyczny (chociaż niezupełnie i nie zawsze) z granicami powiatów nowo urządzonych. [2])

Zamiast dekanatu bazalijskiego występuje potem — starokonstantynowski, nieco większy od powiatu tej nazwy. W 1801 roku w tym dekanacie zaznaczone następujące kościoły i kaplice, prawie zawsze mające swoich kapelanów: 1. w Bazalii, 2. w Wołoczyskach, 3. w Teofilpolu, 4. w Kulczynach, 5. w Starym Kon-

---

[1]) Wszelkie te wiadomości i szczegóły o kościele wołoczyskim poczerpaliśmy z archiwum tam parafialnego, dzięki uprzejmości proboszcza, ks. kanonika Burby, za co Mu wdzięczni jesteśmy.

[2]) Chociaż ludność się teraz zwiększyła, ale kościołów mniej znacznie; z tych wymienionych już zabrane: w Białozórce, Ożohowcach, w Starym Konstantynowie Dominikanów, w Lachowcach, w Dederkałach, w Wyżgródku i Kołodnem.

stantynowie Dominikanów, 6. w Starym Konstantynowie Kapucynów, 7. w Ostropolu, 8. w Skowródkach, kapl., 9. w Michałowcach kapl., 10. w Butowcach kapl., 11. w Junaczkach kapl., 12. w Krasiłowie kapl., 13. w Kupielu. 14. w Ożohowcach, 15. w Kulczynach, 16. w Tereszkach kapl., 17. w Kobyli kapl., 18 w Antoninach kapl., 19. w Jaworowcach kapl., 20. w Świnnej kapl., 21. w Wolicy kapl., 22. w Malaczynie (?) kapl., 23. w Zozulińcach kapl., 24. w Sewrukach kapl., 25. w Samczykach też kaplica.

Przy końcu 1794 roku podzieliła Katarzyna gubernie południowe: mińską i wozniesieńską na dwa biskupstwa — pińskie i latyczowskie, na czele tego ostatniego stanął smutnej pamięci Roman Michał graf Sierakowski, do niego należał dekanat bazalijski. On to w 1796 r. urzędownie nakazał, aby w litanii do N. M. B. opuszczano „Królowo korony polskiej", aby też nie śpiewano po kościołach: „Stroskana Polsko" i innych pieśni patryotycznem uczuciem się odznaczających.

W lipcu r. 1798 powrócił ten dekanat znowu do biskupstwa łuckiego, do życia powołanego powtórnie.

Pierwotny kościół w Wołoczyskach już istniał na początku XVII. wieku, zbudowany przez Mikołaja Małyńskiego (żonatego z Anną Łahodowską): wspomina on o nim w swoim testamencie, sporządzonym 3. maja 1627 r. (Łoziński, Prawem i lewem, Akta grodz. lwow. t. 387, p. 192—199, z r. 1627), lecz dalsze jego losy — nieznane; w archiwum kościelnem nigdzie żadnej o nim niema wzmianki; tylko Józef Potocki w swojej erekcyi, już w XVIII. w., mówiąc o fundacyi świątyni, nazywa ją „de nova radice". Otóż ten drugi tam już kościół datuje swoje istnienie prawie we sto lat po napisaniu testamentu M. Małyńskiego. Pomyślał o domie Bożym i zamiar swój urzeczywistnił dopiero Józef Potocki, natenczas wojewoda kijowski.

Nie ulega zaprzeczeniu, że powstała tam świątynia w 1722 roku: świadczy o tem erekcya, wydana 27. lutego tego roku, księga pierwsza metryczna, zaczęta wtedyż, (której jednak już w archiwum niema) i są jeszcze inne wskazówki. Dom ten Boży pod wezwaniem Matki Najświętszej i św. Józefa, był drewniany, mały, nader ubogo wyglądający; zapewne bytował on niedługo; wzmianki są, że drugi, zbudowany także z drzewa przez tegoż dziedzica w 1739 roku, a gdy się już bardzo i ten ku starości pochylił i zrujnował, to Frydryk Moszyński na tem samem miejscu wymurował nowy kościół św. Trójcy, w 1817 roku, do

dziś dnia tam się znajdujący, konsekrowany przez J. K. Podhorodeńskiego, sufragana łuckiego.

Pierwsze uposażenie otrzymał ten kościół od Józefa Potockiego: na utrzymanie księdza 400 zł., na organistę — 60 zł., wolne mlewo dla obu w młynach dworskich; pola ornego we trzy ręce tyle, ile 10 pługów na dzień wyorać może, sianożęci tyle, ile 12 kosarzy na dzień skosić zdoła; od każdego domu w rynku po groszy 6, a z ulicznych po — 3 gr. na potrzeby kościelne: na światło kamień wosku i łoju nietopionego 2 kamienie rocznie. Potem nastąpiły zapisy inne. Wnuk fundatora, Józef, krajczy koronny, w 1769 roku wyznaczył miejsce na pasiekę: 459 łokci wzdłuż i 765 łokci wszerz, przytem nadany stawek, ale bez młyna, z „chaszczami" dębowymi.

W r. 1771 zapisał kościołowi Antoni Witwicki — 2.000 zł., a 500 zł. na szpital; w 1774 r. Stanisław Bąkowski, major w. p. zapisał na kościół 5.000 zł.: ks. Michał Rutkowski, proboszcz wołoczyski, zostawił ofiary domowi Bożemu — 8.000 zł. w 1776 r.: Józef Niemiłowicz legował 3.414 zł.: Magdalena Dobrzyńska na szpital — 3.000 zł. w 1792 r., od Frd. Moszyńskiego w tymże celu — 1.000 zł., a w 1807 roku tenże Moszyński na szpital przeznaczył 10.000 zł.: ks. Jan Ignatowski, proboszcz wołoczyski, w 1818 r. zapisał na rzecz kościoła i różnych instytucyj dobroczynnych — 20.000 zł.; jeszcze inne były legacye, które przed rokiem 1820 wynosiły 32.000 zł., a procent od tego 1.420 zł. i annuata (zwiększona następnie) — 860 zł. = 2.280 zł.

Poddanych własnych kościół nie posiadał, a ponieważ po pierwszym rozbiorze kraju grunty jego w znacznej części odeszły do Austryi, to F. Moszyński dał 136 morgów: pola ornego, sianożęci i pasieczyska.

Ale były i późniejsze zapisy: w 1830 r. od Karola Sokolińskiego, parafianina, 150 rubli; od Marcina Majewskiego — 250 r. w 1831 roku: w 1835 r. od Jana Hilferdynga — 9.000 zł.: w roku następnym od Joanny Aksiukowej — 4.000 zł. pl. i inne jeszcze. Niektóre z nich przepadły w późniejszych latach, gdy dobra, na których je ubezpieczono, uległy eksdywizyi za długi: tak np. w 1839 r. te wszystkie zapisy wynosiły już tylko 28.000 zł. pl. Po roku 1842 rząd zabrał wszystkie majątki i sumy kościelne, wyznaczywszy kościołom niewielką stałą pensyę.

Na cmentarzu kaplica murowana św. Rocha, a drugą wymurował Jan Hilferdyng w 1822 r., złożywszy tam zwłoki swej żony, Maryanny z Kocińskich: i w tej i drugiej był ołtarz i odprawiało się czasem nabożeństwo kiedyś, obecnie są one bardzo zrujnowane.[1])

Szpital z funduszów wyżej zanotowanych i innych jeszcze istniał czas jakiś, teraz go niema; szkółkę też utrzymywano z zapisów Frd. Moszyńskiego i ks. Ignatowskiego: po roku 1831 zniesiono ją urzędownie.

Z początku kościół wołoczyski był filią zbaraską, lecz miał jednak własny obszar parafialny, do którego należały wsi następujące (oprócz miasteczka Wołoczysk): Staromiejszczyzna (teraz to w Galicyi), Wołoczkowce, Dorofiejówka, Korostawa, Balkowce, Januszowce, Manaczyn, Pisarzówka, Zielone, Krzysztofówka, Medwedówka, Broniówka, Kaczorzyńce, Petrykowce, Sarnów, Kurniki, Zawaliki, Porochnia, Fedórki, Niemierzyńce, Polany, Hołochwasty, Mysłowa, Kaniówka, Łozowe, Suprymówka, Jacowce, Kopaczówka (Kopraczówka), Koziary, Klimkowce, Skoryski, Kurówka, Kołyjówka.

Z tego wyliczenia wsi widzimy, że granica województwa wołyńskiego szła inaczej, niż teraz gubernia tej nazwy, ponieważ niektóre wioski (nie mówiąc o tych, co się teraz po tamtej znajdują stronie Zbrucza), są obecnie w gubernii już podolskiej, (gdyby były w województwie podolskiem, toby należały do biskupstwa kamienieckiego).

I tak w teraźniejszym powiecie płoskirowskim, gubern. podolskiej, znajdują się: Zielone (obecnie Zielona), Krzysztofówka, Medwedówka, Broniówka, Kaczorzyńce (v. Kaczuryńce). Petrykowce, Sarnów, Kurniki, Zawaliki (Zawalijki), Kaniówka, Klimkowce, Kurówka.[2])

W późniejszych czasach w Medwedówce[3]) była nawet osobna kaplica, filia wołoczyskiego potem parafialnego kościoła i wyraźnie

[1]) Jan Hilferdyng, starosta zaleszczycki, major, ur. c. 1773—74 r.: kupił Kopaczówkę od Józefa Lendzi, dyrektora komory wołoczyskiej po roku 1820, zostawił bardzo dużo dzieci, zm. przed r. 1847; synowie wyzuli się z tego majątku już po r. 1850, a ich potomstwo (niektórych synów przynajmniej) nie należy już do naszej wiary i narodowości.

[2]) Nie mogliśmy dojść, gdzie były niektóre wioski, niewyraźnie napisane.

[3]) Medwedówka teraz w gminie tretelnickiej, pow. płoskirowski, o $2^1/_2$ mili od Czarnego Ostrowia i $1^1/_2$ mili od Wojtowiec.

powiedziano, że ta świątynia była w dyecezyi łuckiej. Kiedy owa kaplica powstała — nie wiemy, ale istniała już w 1770 roku, była konsekrowana, budował ją zapewne dziedzic tej wsi, Aleksander Dzierżanowski, podczaszy bilski, żyjący jeszcze w 1781 r. Kościółek ten był drewniany, mały, o „jakie 100 kroków od bramy dworskiej“ (dziś nawet tradycya o nim zaginęła!), o trzech ołtarzach: M. B. Częstochowskiej, z prawej strony św. Antoniego, a z lewej św. Józefa; powiedziano, że tam wisiał też portret hetmana Potockiego, nie wymieniając imienia; okien 4, dwa dzwony, sygnaturka, pokryty gontami. Wzmiankowano, że swoje obowiązki religijne spełniali tam, pomiędzy innymi, mieszkańce wsi — Bokijówki, Tretelnik, Krzywaczyniec, Widawy, Geletyniec etc.; można więc wnioskować, że i te wioski należały też do parafii wołoczyskiej, a wszystkie tylko co wymienione wsi, są teraz też w powiecie płoskirowskim, a prawdopodobnie znajdowały się w obrębie województwa wołyńskiego. Parochowie uniccy tych wsi pracowali w winnicy Pańskiej razem z kapłanami łacinskimi, a metryki wyznawców rzymskiego obrządku odsyłali prawowitym pasterzom, bierzmowania nie udzielając przy chrzcie.

Pierwszym kuratem wołoczyskim był ks. Michał Fostek, zainstalowany już w 1722 roku. Z jego następców znamy: ks. Ignacego Strutyńskiego, kanonika łuckiego, który zrezygnował z tej prebendy w marcu 1763 roku; po nim nastąpił ks. Adam Jan Rutkowski, też zrezygnowawszy dnia 21. sierpnia 1771 r.; jego miejsce zajął brat jego Michał Rutkowski, następnie dziekan bazalijski: około roku 1795 był proboszczem ks. Franciszek Zieleniewski, kanonik inflancki, (rodził się około 1735 roku); potem prawdopodobnie ks. Jan Ignatowski już w roku 1803 (przyszedł na świat około r. 1761); bardzo długo rządził tą parafią i tam umarł przed rokiem 1836: jego zastępcą został ks. Tomasz Więckowski, też długi czas proboszczował w Wołoczyskach i tam Bogu ducha oddał 9. grudnia 1885 roku, przeżywszy lat 86; następnie powołano tam ks. Antoniego Burbę, kanonika obecnie, dotąd chwalebnie gorliwym pasterzem zostającego, który też teraz (1907 r.) otrzymał advitalitatem w tem probostwie.

W rezydencyi Moszyńskich, w Frydrykówce, wymurowano kaplicę, która przez kilka lat (1819—1824) obsługiwana była przez ks. Jana Kreyca, unitę, niechcącego zaprzeć się swej wiary; w owym czasie był jeszcze drugi kapłan unicki, ks. To-

masz Kreyc, mieszkający w bliskim Manaczynie, przyjeżdżający w niedziele i święta do Wołoczysk na posługę proboszczowi.

Parafia wołoczyska obecnie bardzo obszerna, zwłaszcza po skasowaniu kościoła w Ożohowcach i przyłączeniu do niej miasteczka Ożohowiec i ludnej wsi Jachnowiec, gdzie obecny proboszcz wybudował kaplicę pod wezw. św. Michała w 1895 roku.

Otóż teraz ta parafia składa się (w 1904 r.) z 5.171 wiernych (2.502 mężczyzn i 2.669 kobiet), mieszkających w 1164 domach, a mianowicie:

1. W miasteczku Wołoczyskach domów 50 i katolików płci obojej 227: na dworcu kolei żelaznej dom. 15 — dusz 116: w Zbruczu (cukrowarnia) domów 13 — katolików 69; w Frydrykówce — dom. 53, kat. 312: co stanowi razem domów 113, katolików 724.

2.	W Wołczkowcach	domów	99.	katolików	425:
3.	„ Garniszówce	„	27,	„	111:
4.	„ Balkowcach	„	10.	„	60:
5.	„ Korostawie	„	216,	„	856:
6.	„ Łozowej	„	83.	„	355:
7.	„ Manaczynie	„	14.	„	49:
8.	„ Januszowcach	„	37,	„	184:
9.	„ Hołochwastach	„	15.	„	89:
10.	„ Kopaczówce	„	44.	„	202:
11.	„ cegielni kopaczowieck.	„	33,	„	120:
12.	„ Kuryłowcach	„	2.	„	6:
13.	„ Niemierzyńcach	„	38,	„	190:
14.	„ Ożohowcach	„	11.	„	43:
15.	„ Porochni	„	55,	„	255:
16.	„ Polanach	„	4.	„	12;
17.	„ Fedórkach	„	22,	„	123:
18.	„ Jachnowcach	„	323.	„	1.367.

(W tej wsi wszystkich razem mieszkańców 2.067).

Oprócz klucza wołoczyskiego, 8 pozycyj zajmującego w tym spisie, Ożohowiec i Jachnowiec, należących do Polaków, w naszych rękach są jeszcze posiadłości: w Hołochwastach, w Porochni, kolokacya, w Fedórkach i Kuryłowcach (niby)... Dawniej stosunek był inszy — wszystkie te wsi zostawały w rękach polskich.

Ludności zaś katolickiej stosunkowo liczono więcej. Tak np. w Wołoczyskach, samem miasteczku tylko, było w 1799 roku,

domów 61 i katolików 300; w 1801 r. nawet 313; w 1823 już ta liczba nie dochodziła do 300, a w r. 1829 — 276; w 1843 roku — 271; w r. 1850 — 260; w 1857 — 225.

Ogólna zaś ludność w całej parafii tak się przedstawia:

W r. 1797: domów 597, katolików płci obojga 2.814; w r. 1799 już spada na około 2.400; w 1801 — 2.346; potem zaczyna się trochę podnosić: w 1802 roku — 2.660; w 1829 r. — 3.116; później znowu się zmniejsza: w r. 1843 — 2.833; w 1845 — 2.793, w rok potem — 2.709, o rok później — 2.669; w roku 1850 — domów 545 — ludności katolickiej 2.066 spowiadającej się, małoletnich — 582 = 2.648; w pięć lat potem — domów 449, katolików 2.423; w 1857 roku — domów 432, ludności 2.415.

WOŁYNIAK.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".

Prenumerata wynosi: w cesarstwie austryackiem rocznie **8** K, półrocznie **4** K, ćwierćrocznie **2** K, w granicach Niemiec rocznie **3** talary, półrocznie **1½** talara, którą prosimy nadsyłać (najdogodniej przekazem pocztowym) pod adresem: **Administracya „Gazety Lwowskiej“.**

Cena księgarska (główny skład w Galicyi w księgarni Gubrynowicza i Schmidta) za rocznik czyli 1 tom **10** K, za pół roku **5** K, za ćwierć roku **2** K **50** h, za zeszyt **1** K.

Prenumeratorowie „Gazety Lwowskiej“, którzy uiszczą przedpłatę na „Gazetę“ z góry za cały rok (od 1 stycznia) lub za pół roku (od 1 stycznia lub od 1 lipca) otrzymają „Przewodnik“ bezpłatnie, zaś prenumeratorowie ćwierćroczni i miesięczni na żądanie za dopłatą pierwsi **1** K **50** h na kwartał, drudzy **60** h za zeszyt.
